

Bronwyn Jameson

Wybór Julii

Zane: the wild one

Tłumaczyła

Anna Wałęcka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Było zupełnie inaczej niż w kinie.

Tempo akcji wcale się nie zwolniło, gdy opony straciły przyczepność na żwirze, a samochód wpadł w poślizg. Nie było zbliżenia kamery na Julię, która próbowała utrzymać panowanie nad kierownicą. Wcale nie miała wrażenia, że czas się zatrzymał. Nie doświadczyła też nagłej klarowności myśli, dźwięku, ruchu. Nie było żadnych „co by było, gdyby”.

Jechała - jak zawsze - z rozsądną prędkością. Była mniej więcej w połowie dwudziestokilometrowego odcinka od swojego domu w Plenty do wiejskiej posiadłości siostry, gdy nagle pojawiły się przed maską jej auta sroki. Chwilę później jechała nie wiadomo dokąd, kurczowo ściskając kierownicę.

W końcu otworzyła oczy. Na wypalanej letnim słońcem trawie przy drodze zobaczyła kangura. Zwierzę zatrzymało się i zaczęło węszyć.

- Gdybyś to ty siedział na drodze, olbrzymie, miałabym przynajmniej szansę na wykonanie uniku.

Kangur przeskoczył z wdziękiem przez ogrodzenie i wkrótce zniknął jej z pola widzenia. Julia pokręciła głową z politowaniem. Podczas niezliczonych lekcji jazdy wielokrotnie jej powtarzano, by nigdy nie zjeżdżała z drogi z powodu zwierząt. Należy zwolnić, nacisnąć klakson, a same uciekną.

Tylko że Julia nigdy nie zaryzykowałaby skrzywdzenia jakiegokolwiek żywej istoty, nie włączając ptaków. Dlatego zamknęła oczy, wdepnęła hamulec i skręciła gwałtownie w bok. Efektem czego było jej aktualne, kłopotliwe położenie. Bo utknąć w rowie przy tej konkretnej drodze to rzeczywiście jest kłopot.

Wybrała boczną drogę, bo kochała widok ze wzgórza Quilty. Nie bez przyczyny nazywano tę szosę właśnie „boczną drogą”. Nie było tu praktycznie żadnego ruchu.

Dobrze, że udało się jej przeżyć. Uniosła się ostrożnie, pokręciła głową na prawo i lewo. Nie odpadła, a to już coś. Ostrożnie oderwała dłonie od kierownicy. Ręce bardzo się jej trzęsły, ale zdołała poprawić okulary przeciwsłoneczne i odpiąć pas.

Trochę dłużej mocowała się z drzwiami, ale w końcu ustąpiły. Gdy wysiadła, nogi się pod nią ugięły. Proszę bardzo. Równie dobrze może ocenić sytuację w pozycji horyzontalnej. Z ziemi było doskonale widać, że bez pomocy się stąd nie ruszy.

Auto spoczęło na krawędzi rowu. Gdyby zamiast hatch-backa matki wzięła mercedesa ojca, auto wyglądałoby teraz jak wyrzucony na brzeg wieloryb. Beznadziejnie

unieruchomione. Spod maski dochodziło jakieś bulgotanie i syczenie - pewnie chłodnica. Przednie koło było chyba przebite.

Ale przecież mogło być gorzej. Nie została ranna. Przynajmniej jak na razie.

Choć ktoś może wiedzieć, jaka krzywda stanie się jej udziałem, jeśli nie stawi się na kolacji u Chantal, która nie znosiła mieć gości nie do pary. Nie wspominając o zamieszaniu, jakie robiła wokół jej osoby siostra. Bo Julii potrzebny był mąż. Bo Julia nie chodzi nigdzie, gdzie mogłaby poznać „właściwego mężczyznę”. Bo żaden mężczyzna ani żadna maszyna nie była w stanie powstrzymać Chantal, gdy podjęła się jakiegoś zadania. A od sylwestra miała jedną misję: wydać Julię za mąż.

Julia doceniała wysiłki Chantal. Przecież w gruncie rzeczy siostrze chodziło tylko i wyłącznie o jej szczęście, nawet jeśli oznaczało to coś zupełnie sprzecznego z jej zasadami. Już kiedyś była mężatką. I gdyby nie wyjechali do Sydney w związku z pracą Paula, gdyby nie przyzwyczyła się do anonimowej samotności w wielkim mieście, gdyby on nie zakochał się w innej kobiecie...

Mimo wygórowanych ambicji rodziców, mimo wspaniałych sukcesów rodzeństwa, mimo wszystkich tych testów zawodowych i porad z gatunku „stać cię na więcej”, Julia nigdy nie marzyła o niczym innym, poza małżeństwem. Chciała mieć dom z ogrodem i dzieci.

Na szczęście nogi chyba były już gotowe ją unieść, zwłaszcza gdyby pozbyła się dziesięciocentymetrowych szpilek, które pożyczyła od swojej współlokatorki, Kree. Oraz pończoch. A także halki, która przykleiła się jej do ud.

Uporawszy się z tym, wyszła na środek drogi i rozejrzała się dookoła. Dostrzegła tak wiele przydrożnych eukaliptusów, że zaczęła się cieszyć, iż zatrzymała się w rowie, a nie na którymś z nich. Za nią ciągnęły się hektary falujących łąk ze stadami pasącego się w oddali bydła i rozcięte na pół drogą, którą przyjechała. Przed sobą widziała niewyraźną linię drzew i krzewów. Tam zaczynał się rezerwat Tibbaroo.

A niech to! Nawet gdyby szukała, nie znalazłaby większego odludzia. Od najbliższej farmy dzieliło ją parę kilometrów. A już czuła ostry żwir wbijający się w boscie stopy i lejący się z nieba skwar. Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę. Zastanawiała się, co byłoby uznane za najgłupszy krok: iść parę kilometrów na bosaka czy pokonać ten sam dystans w szpilekach? A może siedzieć spokojnie i czekać na pomoc?

Jej rozmyślania zaburzył cichy, uporczywy dźwięk. Odgoniła muchę, która zataczała kółka dookoła jej głowy. Mucha odleciała, ale brzęczenie pozostało. Julia jęknęła. Największą głupotą jest zapomnieć o telefonie w samochodzie.

Wróciła do auta, wsunęła się za kierownicę i złapała słuchawkę.

- Julia? Na litość boską, gdzie ty się podziewasz? -Chantal chyba gotowała się z wściekłości. - Wiem, wiem, zapraszałam na wpół do ósmej, ale zwykle przyjeżdżasz wcześniej. Muszę przygotować ten cholerny sos. Trzymałam się twojego przepisu, ale coś mi nie wyszło...

- Słuchaj - zdołała wpaść jej w słowo Julia. - Właśnie miałam mały wypadek.

- Nic ci się nie stało?

- Owszem, mnie nic, ale samochód...

- O, Boże, rozbiłaś auto mamy?

- Nie, nie rozbiłam go. Nie tak do końca. - Zamknęła oczy. - Ale trzeba mnie holować.

Julia podała wskazówki topograficzne i Chantal zaczęła organizować pomoc. W tym była naprawdę dobra.

- Nie mogę po ciebie przyjechać, bo muszę doglądać tego jedzenia. Przyślę Dana, gdy tylko się zjawi.

- Dana?

- To nowy dentysta z Cliffton. Jest chyba trochę małomówny, więc spróbuj go rozruszać. Na pewno macie wiele wspólnego. Musisz tylko dać mu szansę.

„Jest odrobinę tępy, więc świetnie się dogadacie”, przełożyła sobie Julia.

- Siedź spokojnie i czekaj. Zaraz zadzwonię po pomoc drogową.

- Jest piątek wieczór. Błagam cię, daj Billowi spokój. Lecz Chantal już odłożyła słuchawkę.

W tylnym lusterku Julia zobaczyła ciężarówkę pomocy drogowej wspinającą się na wzgórze Quilty. Pojawiała się i znikwała, w miarę jak pokonywała zakręty i pagórki.

Wyprostowała się i przesunęła ciemne okulary na czubek głowy.

Billowi nigdy się nie spieszyło. Oszczędny w słowach właściciel warsztatu był uosobieniem małomiasteczkowego stylu życia. Lecz to do niego należała jedyna ciężarówka w Plenty, tylko on mógł odholować zepsute auto...

Wyłączając te rzadkie okazje, gdy w mieście był Jack O'Sullivan.

Gdy ciężarówka w końcu zatrzymała się koło niej, serce Julii łomotało jak oszalałe. Obłok kurzu wzniecony przez Billa dogonił go, zawirował, a potem osiadł gęstym, brązowym całunem. Julii zaschło w ustach. Usłyszała dźwięk zatraskiwanych drzwi, odgłos miażdżonych ciężkimi butami roślin. I już koło niej stał, rozkładając szeroko ręce na dachu jej auta i nachylając się do otwartego okna. Jack O'Sullivan. We własnej osobie.

- Świetne miejsce na zaparkowanie samochodu - powiedział przeciągle.

Ten chropawy od whisky głos zawsze wytrącał Julię z równowagi - puls jej przyspieszał, oddech robił się płytszy - ale zwykle nie zapominała języka w gębie... Lecz na ogół kontaktowała się z nim na odległość, przez telefon. Brat Kree, ten niespokojny duch, właściwie rozmawiał z nią w cztery oczy po raz pierwszy.

W szkole średniej jego wspaniały wygląd wydawał się jej sprzeczny ze złą reputacją. Na wszelki wypadek unikała każdej ewentualności kontaktu. Minęło ponad dziesięć lat i wiele się zmieniło. Poza jednym. Jack O'Sullivan wciąż wytrącał ją z równowagi, choć teraz, gdy już odzyskała panowanie nad sobą, zauważyła, że on też się zmienił.

Miał na sobie obcisły t-shirt, pod którym uwidaczniał się tors - zdecydowanie szerszy i bardziej muskularny. Włosy nadal były takie same - rozjaśnione słońcem, złocistomiodowe, trochę przydługie, odgarnięte z szerokiego czoła. Twarz miał szczuplejszą, kości policzkowe wyraźniejsze, a okulary przeciwsłoneczne nie przesłaniały drobnych zmarszczek.

Pogłębiały się, gdy mrużył oczy.

- Nic ci nie jest? Robisz wrażenie nieco oszołomionej. Wyprostował się i otworzył jej drzwi. Odwróciła oczy, ale zdążyła jeszcze omieść go wzrokiem. I nagle zrobiło się jej gorąco, zakręciło się jej w głowie. To ten upał, pomyślała. I szybko zsunęła okulary przeciwsłoneczne na nos.

Parsknęła śmiechem. Śmiech zamarł, gdy dotarło do niej, jak idiotyczne musi się wydawać jej zachowanie. Obróciła się i zobaczyła, że Jack przygląda się jej zafrasowany. Jedną rękę położył na drzwiach; niecierpliwie przebierał długimi palcami. Odniosła wrażenie, że chciałby być gdzie indziej. Gdziekolwiek, byle nie tu. Boże drogi, od jego przyjazdu minęło już kilka minut, a ona nadal nie odpowiedziała na jego pełne troski pytanie.

- Nic mi nie jest. - Pokręciła głową. - Widzisz? Żadnych oznak urazu.

Jakoś go nie przekonała. Wysiadła z auta.

- Popatrz na tę oponę. Chyba ją załatwiłam. Wpadłam do rowu z impetem, więc pewnie rozwalłam też układ kierowniczy. I nie wiadomo, co jeszcze. Och, i woda się zagotowała. Myślisz, że to chłodnica?

- Możliwe. - Nawet nie spojrzał na samochód. - Na pewno nie uderzyłaś głową w kierownicę?

- Być może słońce mnie trochę przypiekło i jestem w szoku, ale poza tym nic mi nie jest.

Nadal się jej przyglądał, i to z taką intensywnością, że zaczęła podejrzewać, iż na czole wyskoczył jej guz wielkości piłki do nogi. Lecz wtedy poczuła falę gorąca w żołądku. Od razu wiedziała, że nie patrzył na wybrzuszenia na jej głowie.

Patrzył na krągłości jej ciała.

Nie trzeba było zdejmować halki. I nie powinna była dać się namówić Kree na tę sukienkę. Kree wygląda w niej bosko, ale Kree jest dobre dziesięć centymetrów niższa od Julii. No i nie ma bioder... ani żadnych innych wydatnych krągłości.

- Wybierasz się na przyjęcie?

- Tak. Do siostry - odpowiedziała z wymuszoną swobodą. - Pamiętasz Claire Heaslip? Chantal wynajęła w zeszłym roku dom jej dziadka.

To nie było przemyślane. Przecież Jack nie mógł zapomnieć Claire Heaslip. Nawet jeśli plotki nie były do końca prawdziwe.

- Masz zwyczaj chodzić na bosaka? - zapytał spokojnie, najwyraźniej chcąc zignorować jej uwagę.

- Raczej nie.

Roześmiała się z zakłopotaniem spowodowanym zarówno gafą z Claire Heaslip, jak i reakcją swojego ciała na jego spojrzenie omiatające jej nogi.

- Chantal dostałaby zawału, gdybym zjawiała się u niej boso. Zdjęłam buty, bo zamierałam ruszyć w drogę na piechotę. - Wzięła pantofle z siedzenia dla pasażera i skrzywiła się, wkładając je. - To nie są idealne buty do chodzenia.

Co ty powiesz? zdawało się mówić jego spojrzenie. Dla faceta odzianego w wygodne dzinsy, t-shirt i buty na traktorowej podeszwie jej koktajlowa kreacja musiała być zdecydowanie jak z księżycy. I nagle sama to odczuła. W duchu przeklęła swoje bezkrytyczne zaufanie do Kree.

Tymczasem Jack sprawdził położenie jej auta i podjechał bliżej ciężarówką. Zanim zamocował linę, spojrzał na Julię.

- Chcesz, żebym cię najpierw podrzucił do siostry?

- Nie. Chantal powiedziała, że kogoś po mnie przyśle.

Nie kogoś, tylko dentystę Dana, starannie wyselekcjonowany materiał na męża. Wyobraziła go sobie w stonowanym garniturze, pod krawatem, ciemnowłosego, z przedziałkiem. Wyobraziła sobie czekający ją wieczór. Był to smutny i bezbarwny obraz.

Spojrzała na Jacka i błysnęło jej w głowie jedno słowo. Technikolor. Nim zdążyła się nad tym zastanowić, wzięła głęboki wdech i powiedziała szybko:

- Zmieniłam zdanie. Mogę zabrać się z tobą do miasta? Podniósł głowę. Nie potrafiła rozszyfrować jego spojrzenia.

- Pewnie. Przecież cię tu nie zostawię.

Dziesięć minut później Jack przeklinał w duchu swoją rycerskość. Owszem, rozkoszował się myślą o tym, co Julia ma lub czego nie ma pod tą cieniutką sukienką. Ale teraz walczył z nieprzepartą ochotą sprawdzenia tego. A przecież to córka Principala Goodwina, córka pani burmistrz Goodwin, na litość boską! Takich kobiet nie wolno sobie nawet wyobrażać nago.

A on fantazjował o jej łęklwych, orzechowych oczach rozjaśnionych żądzą, o lśniących, ciemnych włosach rozrzuconych na poduszce, o tych wspaniałych krągłościach...

Pokręcił głową. Starał się odsunąć od siebie tę wizję. Spróbował skupić się na drodze. Lecz jak miał się skoncentrować, jeśli nozdrza drażnił mu zapach jej perfum - to było coś lekkiego jak wiosenny poranek? Nie wspominając o spojrzeniach rzuconych zza ciemnych okularów. Jeszcze pięć minut i zrobi coś głupiego, na przykład zaprosi ją na drinka. Lub coś naprawdę kretyńskiego - zabierze ją do swego domu.

Wyszukany strój Julii Goodwin na podłodze pokoju w tanim hoteliku? Pomysł nie z tej ziemi!

- Przepraszam, że musiałeś po mnie przyjechać - odezwała się w końcu swoim łagodnym głosem, starannie dobierając słowa. - Na pewno wolałbyś być gdzie indziej w piątkowy wieczór.

Miała rację, ale nie zamierzał jej powiedzieć, gdzie chciałby teraz być.

- No tak, ale źródelko w Lionie na pewno nie wyschnie.

- Byłeś w pubie?

- Właśnie miałem się czegoś napić. Bill już zdążył wychylić parę głębszych, gdy dostał wiadomość od twojej siostry.

- Ach, więc dlatego to ty się zjawiłeś. - Przyjrzała mu się uważnie, tym razem bardziej otwarcie. - Dziękuję.

Jack wzruszył ramionami.

- To moja praca.

- Nie, to praca Billa. Wiem, że mu pomagasz, gdy jesteś w mieście...

Jej głos zamarł. Czekala, aż odpowie na jej niewypowiedziane pytanie o przyczynę wizyty. A czemuż by nie? Lepiej z nią rozmawiać niż o niej fantazjować.

- Mam tydzień wolnego. Pomyślałem, że dam Billowi odsapnąć i sprawdzę, co słychać u Kree.

- Nie mówiła, że przyjeżdżasz.

- Zdecydowałem się w ostatniej chwili.

- Aha. Widziałeś się już z nią?

- Przyjechałem dziś po południu. Pewnie jest zajęta. Zresztą nie przepadam za wizytami u balwierza.

- Oj, uważaj, bo jak Kree usłyszy, że mówisz o jej salonie w ten sposób...
- Uśmiechnęła się i niemal natychmiast spoważniała. - Szkoda, że jednak do niej nie zajrzałeś, bo się z nią rozminiesz. Wyjechała na weekend z Taggiem, swoim chłopakiem. On mieszka w Cliffton.

- No, to się z nią zobaczę, gdy wróci. Co u niej słychać?

- Zawsze zajęta, wciąż w biegu, ale szczęśliwa.

- To znaczy wariatka?

Zachichotała. Jack zerknął na nią. Z tym uśmiechem była po prostu oszałamiająca. Znowu się na nią zagapił. Jak to możliwe, że jej nie zauważył, gdy mieszkał w Plenty?

Pewnie dlatego, że nigdy nie widział jej roześmianej. Za to pamiętał doskonale, jak przechodziła na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć spotkania z nim. A jeśli już patrzyła na niego, to było to zaciekawione, zafascynowane spojrzenie zwykle zarezerwowane dla wrogów i dziwolągów. Generalnie tak właśnie czuł się w tym miasteczku.

A teraz czuł, że ona przygląda mu się z fascynacją, ale innego rodzaju. Siedziała nieruchomo, śmiech zamarł jej na wargach. Przesunęła wzrok na jego usta. Poczł gorąco. Oho, nie ma mowy! To dziewczyna z gatunku: „kolacja-randka-powrót-do-tatusia”, a nie taka, z którą idzie się do łóżka. A już na pewno nie należała do kategorii oddających się na przednim siedzeniu samochodu.

Wysiłkiem woli oderwał od niej wzrok i spojrzał na drogę. Nacisnął mocniej pedał gazu. O czym by tu porozmawiać?

- Jesteś wystrojona na przyjęcie. - Wskazał jej kusą sukienkę. - Czemu postanowiłaś wracać do domu?

- Tak naprawdę wcale nie miałam ochoty iść na to przyjęcie. Jak myślisz, czy konieczność odholowania auta jest wystarczającym pretekstem, żeby się wymigać? Bo przecież nie rozbiłam się, nic mi się nie stało...

- A po co ci pretekst? Skoro nie chciałaś iść, to mogłaś odmówić.

- Chantal nie zna słowa „nie”.

- To może trzeba je częściej powtarzać.

Mała zmarszczka przecięła jej czoło. Jack zaczął się zastanawiać, czy trafił. Ale potem pomyślał, że to nie jego sprawa.

- Gdy zakładałeś hol, zadzwoniłam do Chantal i powiedziałam jej, że wracam do domu. Nie była uszczęśliwiona. Podejrzewam, że mogła wysłać kogoś po mnie do domu.

- Ale jeśli nie będzie cię w domu, to nic jej z tego nie przyjdzie.
- Nie będzie mnie w domu? W piątkowy wieczór w Plenty nie ma gdzie się ukryć.
- Jest Lion. Mogłabyś wstąpić na drinka, zagrać w bilard - rzucił od niechcienia, bo nie spodziewał się, by przyjęła propozycję.

Gapiła się na niego przez chwilę. Była zaskoczona. Lecz wyraźnie rozważała to zaproszenie. Poczuł ożywienie. Potem jednak pokręciła głową i wbiła wzrok w dłonie splecione na kolanach.

- Dzięki, ale chyba tym razem muszę odmówić. Tym razem. Jakby codziennie gdzieś ją zapraszał.

Wzruszył ramionami.

- Twoja strata.

Julia wyjrzała przez okno. Dotarli na obrzeża miasta. Za kilka chwil wysiądzie, rzuci niedbałe „do zobaczenia” ze świadomością, że do ich następnego spotkania może minąć kolejne dwanaście lat. Poczwała głębokie rozczarowanie, zupełnie nie na miejscu. Rzeczywiście, jej strata.

Oczywiście zawsze mogła przebrać się w dzinsy i iść do Liona. Mogła podejść do niego i powiedzieć:

- Cześć, Jack. Zagramy w bilard?

A wtedy wszyscy w barze albo parskną głośnym śmiechem, albo poprzewracają się z wrażenia lub wezwą ludzi z kaftanem bezpieczeństwa.

Julia Goodwin w pubie? Nie ma mowy.

Właśnie skręcili w Bower Street i zatrzymali się przed numerem czternastym. Jack sięgnął do klamki, ale go złapała za rękę i powstrzymała.

- Nie musisz wysiadać.

Zamarł. Wbił wzrok w jej dłoń na swoim ramieniu. Jego skóra była ciepła, nie, gorąca, i lekko szorstka. Wydawała się też niewiarygodnie twarda. Nagle uświadomiła sobie, ile czasu minęło od chwili, gdy dotykała nagiej skóry. I jak bardzo tęskniła za tym wrażeniem...

Chwila się przeciągała. Cisza gęstniała. W końcu Julia cofnęła z ociąganiem dłoń. Fala gorąca ogarnęła jej szyję i uszy. Och, jaka była wdzięczna Kree za to, że kazała jej dziś rozpuścić włosy. Przynajmniej tu trafiła w dziesiątkę!

Odchrząknęła. Nie była w stanie podnieść na niego wzroku.

- Chciałam ci tylko podziękować i przeprosić za to, że zepsułam ci wieczór. Mam nadzieję, że zobaczysz się wkrótce z Kree.

- Zadzwoń do niej do pracy w poniedziałek rano.

- Rano jest zwykle bardzo spokojnie, zwłaszcza w poniedziałki. Może nawet będzie sobie mogła zrobić wolne.

- Złapała za klamkę. - No, to do zobaczenia.

- A co z twoim autem? Julia zamrugła powiekami. Auto! Jak mogła zapomnieć?

- Jeśli chodzi o ścisłość, to nie jest moje, ale mojej mamy. Nie mam własnego samochodu, więc pożyczyła mi swój. Zresztą wyjechała. Rodzice są teraz w Toskanii. - I po co ja mu to mówię? Zacisnęła drżące palce na torebce.

- Co musisz wiedzieć o aucie?

- Chcesz, żeby Bill naprawił, co trzeba, czy tylko wycenił?

- Och, tak.

- Tak... co? - zapytał wolno.

Znowu przyglądał się jej badawczo, tak jak wcześniej, na drodze. Zaczęły ją piec uszy. Co powinna odpowiedzieć na to proste pytanie?

- Tak, proszę. - Rany boskie, nic głupszego już chyba nie mogła palnąć? Zagryzła wargę i spróbowała jeszcze raz. - Poproś go, żeby naprawił, co trzeba. Bill jest naszym mechanikiem.

Uznała, że to właściwy moment na zakończenie rozmowy. Otworzyła drzwi i wysiadła, ale zanim zamknęła drzwi, zmusiła się jeszcze do uśmiechu.

- Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować za pomoc.

- Dostaniesz rachunek. Pokręciła głową.

- Nie o to mi chodzi. Chciałam podziękować ci osobiście.

- To postaw mi kiedyś drinka.

Wbiła w niego nieprzytomny wzrok. Jakiś głos w jej głowie darł się wniebogłosy: „Może teraz?”. A inny radził, że powinna się uśmiechnąć i zbyć go grzecznie, po czym odmaszerować.

Och, lecz nie chciała słuchać tego rozsądnego głosu grzecznej dziewczynki. Raz w życiu miała ochotę zrobić coś niegrzecznego.

- Chyba chciałabym...

Przestąpiła z nogi na nogę, oblizwała wargi i nagle zauważyła, że coś odciągnęło uwagę Jacka. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w boczne lustro i przebierał palcami po kierownicy.

- Chyba masz gościa.

Odsunęła się o krok. Zobaczyła białe volvo, które zatrzymało się za nimi. Wysiadł z niego zadbany mężczyzna, który robił wrażenie solidnego, szanowanego i - owszem - tępawego.

Jack zapalił silnik ciężarówki. Poczowała ukłucie paniki. Prawie rzuciła się do okna, żeby go zatrzymać. Lecz powiedziała tylko:

- Naprawdę chciałabym kiedyś postawić ci drinka.

Być może dostrzegł jej nerwowe napięcie. A może patrzył na dentystę Dana, który cierpliwie czekał na poboczu. W każdym razie skrzywił drwiąco usta, pokręcił głową i powiedział:

- Dzięki, ale coś mi się zdaje, że to nie był dobry pomysł.

Oczywiście miał rację.

Cofnęła się. Odjechał, a ją ogarnął posępny nastrój.

Może i drink z Jackiem O'Sullivanem nie jest dobrym pomysłem, ale to wcale nie znaczy, że pociągała ją perspektywa kolacji z solidnym i szanowanym dentystą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ostatecznie nie poszła na kolację do Chantal. Zamiast tego zjadła zdecydowanie mniej formalny posiłek przy własnym stole kuchennym. Z Danem. Wcale nie był tępy ani nudny. W gruncie rzeczy wydawał się miły - czuła się przy nim swobodnie. Gdy ze zmieszaniem przyznał się do tego, że Chantal wymusiła na nim obietnicę udziału w przyjęciu, Julia uznała, że facet da się lubić.

Dan kojarzył się jej z łagodnym, jesiennym porankiem, w odróżnieniu od Jacka O'Sullivan - uosobieniem letniego, upalnego południa. I bardzo dobrze. Nigdy nie przepadała za latem.

Pożegnała się z Danem i pomyślała, że lubi mężczyzn, którzy bez trudu wtapiają się w jej dom. A Dan bez wątplenia do nich należał. A Jack bez wątplenia nie. On nie zmieściłby się w jej kuchni. Na pewno nie czułby się u niej swobodnie. Nie poddałby się również taktycznym zabiegom Chantal.

Nie pasowałby do listy gości jej siostry.

Po pierwsze, chodził do pracy w dżinsach, a nie w świetnych, włoskich garniturach. Po drugie, nie mieszkał w prestiżowej dzielnicy. A właściwie chyba w ogóle nie posiadał własnego domu. Mieszkał tam, gdzie akurat pracował. Był mechanikiem. Najczęściej pracował w kopalniach na dalekim zachodzie Australii. I nigdzie nie zatrzymywał się na długo. Najdłużej pewnie w Plenty - siedem lat.

Otworzyła okno sypialni i wciągnęła w nozdrza uderzający do głowy zapach nocy i róż. Przypomniała sobie czasy, gdy rodzina O'Sullivanow przyjechała do miasteczka. Wywołali niezłe poruszenie w konserwatywnej, miejscowej społeczności - para buntowniczych dzieciaków i ich przedwcześnie postarzała matka w zapakowanej po dach, poobijanej furgonetce, która odmówiła posłuszeństwa na środku ulicy Głównej.

Tak się tu zjawili. I zostali, bo nie mieli za co jechać dalej.

Julia dobrze pamiętała przyciszone rozmowy - brzydkie plotki o ich mrocznej przeszłości. Większość ludzi z miasta bojkotowała nowo przybyłych. Pozostali ich przyjęli, uważając to za dobry uczynek. Nie był to łatwy początek, zwłaszcza dla nastolatków, z których każde zniosło to inaczej.

Kree zadzierała nosa i nie przyjmowała do wiadomości, że może być niechciana. Walczyła nie tylko o akceptację, lecz również o popularność. A jej brat... no cóż... Jack nigdy nie wygrywał konkursów popularności, bo do żadnego nie przystąpił.

Niektórzy twierdzili, że dołączyłby do ojca za kratkami, gdyby Bill nie dał mu u siebie pracy. Najpierw po szkole, a potem na pełny etat pracował przy dystrybutorze paliwa. Lecz gdy tylko skończył praktyki, wyniósł się z Plenty. Zostawił za sobą również plotki o Claire Heaslip.

Zdaje się, że od tamtej pory cały czas jeździł z miejsca na miejsce.

Julii nie powinno interesować, czemu wybrał takie życie. Powtarzała to sobie, ścieląc łóżko i otrzepując poduszkę. W ogóle nie powinna zaprzętać sobie głowy Jackiem O'Sullivanem. Powinna myśleć o Danie - miłym, dobrze sytuowanym, spokojnym. Obiecał, że zadzwoni do niej w tygodniu.

Niestety, gdy tylko zamknęła oczy, a letnie powietrze dotknęło pieszczotliwie jej skóry, łagodny dentysta przegrał z kretesem. Zamiast niego przed oczami stanął jej inny mężczyzna. Przypomniała sobie jego silne, męskie ramię, ruch dopasowanej koszulki, gdy się poruszył, i włosy lśniące jak złoto w wieczornym słońcu.

I nagle przypomniała sobie jasno i wyraźnie fragment ich rozmowy.

Jack zamocowywał właśnie hol. Zapytał ją, jak to się stało, że wylądowała w rowie. Opowiedziała mu wszystko po kolei, o srokach i tak dalej, a on nie pokręcił krytycznie głową ani nie posłał jej pogardliwego spojrzenia. A tego się właśnie spodziewała. Mruknął tylko:

- Wypadki się zdarzają.

Julia zapadła w sen z tym prostym, wyrozumiałym stwierdzeniem w głowie. Uśmiechała się lekko.

Sześć dni później Jack stał na zadbanym trawniku przed domem na Bower Street 14 i przerzucał z ręki do ręki kluczyki do samochodu Julii. Najpierw wytrąciła go z równowagi swoim dotknięciem. A potem był jeszcze ten facet z volvo. W efekcie tamtego wieczora prawie nie spojrzął na dom. Dopiero dziś zrozumiał zachwyty, którymi Kree się z nim dzieliła rok temu, gdy się tu wprowadziła.

- Nie poznałbyś starego domu Plummera! - prawie wrzeszczała w słuchawkę.

Spore niedopowiedzenie, uznał Jack.

Julia zupełnie odmieniła starą, zaniedbaną, drewnianą chatę. Pomalowała ją na łagodny odcień błękitu, a dookoła założyła ogród. Słowa nie były jego żywiołem, ale poza „ładnym” i „spokojnym”, nazwałby ten dom „przytulnym”. Niemal widział, jak stara chata uśmiecha się przyjacielsko, otwiera ramiona i kiwa zapraszająco.

Dom z ramionami? Dom, który kiwa?

- Chyba powinieneś więcej sypiać, O'Sullivan - mruknął pod nosem.

Odwrócił się i zlustrował ulicę. Zdaje się, że dom pod numerem czternastym nie był jedynym, który poddano ostatnio remontowi... choć chyba tylko ten wybrała na dom kobieta ze wzgórza.

Nie miał ochoty patrzeć w tamtym kierunku. Nie znosił tego gorzkiego, pełnego irytacji uczucia, które opanowywało go zawsze, gdy tylko pomyślał o tamtej części miasta. Miał ochotę wskoczyć do samochodu - jakiegokolwiek samochodu - i nacisnąć gaz. I jechać tak daleko, aż Plenty będzie już tylko wspomnieniem, złym wspomnieniem.

Ale tego nie zrobił. To by było nierozsądne.

Ale po co on tu do niej przyjechał? Nagle powód wydał mu się tylko wymówką, i to kiepską. Mógł przecież zostawić jej wiadomość na automatycznej sekretarce.

Odebrałaby samochód z warsztatu po drodze z pracy. Codziennie rano za pięć dziesiątą przechodziła koło warsztatu. Jej ciało poruszało się kusząco pod czarną spódnicą i białą bluzką - taki był uniform pracownic jedynego w mieście domu towarowego. Starał się nie zwracać uwagi na to kołysanie, ale przecież był tylko człowiekiem.

Do licha, nie musiał nawet zostawiać wiadomości. Mógł po prostu zawołać jutro:

- Hej, Julio. Samochód gotowy.

Ale przyjechał. Widział, jak wracała do domu. Coś w sposobie, w jaki trzymała głowę i kołysała biodrami, może też fakt, że przemknęła obok, nie rzucając nawet okiem w jego kierunku, kazało mu zdecydować, że odstawi jej auto pod dom. Osobiście.

A poza tym musiał sprawdzić kilka rzeczy. Na przykład musiał się upewnić, że źle zrozumiał pieszczotliwe dotknięcie palców i spojrzenie, gdy mówiła, że chciałaby mu postawić drinka. Ona w ogóle nie przypominała Julii Goodwin, jaką pamiętał z przeszłości, grzecznej dziewczynki, która przechodziła na jego widok na drugą stronę ulicy. Musiał też sprawdzić, czy rzeczywiście jest z facetem z volvo, który aż się rwał, by zabrać ją na drinka.

Tak, tak. Musiał się tylko upewnić, nic więcej.

Włożył kluczyki do kieszeni, otworzył małą furtkę i schylił głowę, żeby zmieścić się pod łukiem z pnących róż. I wtedy pojawił się pies... Choć nie od razu się zorientował, że to pies. Zwierzak pojawił się w postaci niezidentyfikowanej, biało-czarnej smugi przedzierającej się przez kwiaty z prawej, i rzucił się w wir szaleńczego, powitalnego tańca: biegał dookoła, szczekał, skakał i szczyrzył zęby.

Jack nie był w stanie powstrzymać cisnącego się na wargi uśmiechu. A jednocześnie próbował zapanować jakoś nad rozentuzjasmowanym zwierzakiem. Nagle wyczuł kogoś po prawej stronie. To Julia, był pewien. Przyglądała mu się. Wyprostował się wolno, odwrócił

i zobaczył ją. Stała pośród bujnej roślinności, lekka sukienka unosiła się w rytm jej oddechu. Wyglądała jak nieziemska piękność, która narodziła się z samych kwiatów.

Zacisnął powieki i trwał tak przez długą chwilę. Gdy znów otworzył oczy, ona zeszła na ścieżkę i zbliżała się do furtki. Do niego. Jack odetchnął głęboko aromatycznym powietrzem. Na pewno dopadły go halucynacje.

Julia Goodwin nie jest żadną tam piękną nie z tego świata. Uśmiechnął się. Dziwny ucisk w piersiach zelżał. To ulga, nic więcej. Ulżyło mu, bo ta Julia Goodwin wyglądała dokładnie tak, jak powinna. W żaden sposób nie przypominała syreny.

Grzeczna Julia zatrzymała się przed nim. Uśmiechała się niepewnie, unikała jego spojrzenia. Gdyby mogła przejść na drugą stronę ulicy, pewnie by to zrobiła.

- Przepraszam cię za zachowanie McCoya. Uwielbia mężczyzn. To pies mojego brata. Zawsze, gdy widzi mężczyznę przy furtce, zaczyna szaleć, bo myśli, że to Mitch.

Pies brata. To miało sens.

Bo właśnie sobie pomyślał, że McCoy zupełnie do niej nie pasuje. Kobiety, które noszą obcisłe sukienki i których skóra przypomina jedwabiste płatki róż, gustują w kanapowcach. Albo w kotach. A nie w takich kłębkach energii jak McCoy.

Pogłaskał psa po jedwabistej głowie.

- Pewnie wielu facetów kręci się koło twojego domu?

- Przychodzą do Kree - odpowiedziała natychmiast, a potem się zafrasowała. - Nie w tym sensie... Ale ona ma takie powodzenie u facetów. Oj! - Zatkaną sobie usta dłonią, po czym wolno opuściła rękę. - Chyba nie mogłabym już popełnić większej gafy, nie?

Jack parsknął śmiechem, a ona mu zawtórowała. Natychmiast przypomniał sobie jej śmiech, jej nagie stopy i gorączkę tamtego piątkowego wieczora. Nadal roześmiana, spojrzała mu prosto w oczy. Znowu zrobiło mu się gorąco.

To było nagłe uderzenie. Ogarnęłyby go płomienie, gdyby nie zamrugała powiekami i nie odwróciła wzroku. Zaczęła rozmowę. Mówiła o tym, że psa trzeba przywiązywać w ciągu dnia, bo znalazł miejsce w ogrodzeniu, które jest w stanie przeskoczyć, o tym, że musi się porządnie wybiegać, że chciała zabrać go na spacer nad rzekę.

- Czasami pozwalam mu biegać luzem, kiedy indziej prowadzę na smyczy.

Jej monolog się urwał. Wyprostowała się i wygładziła jakieś wymaginowane zagniecenie sukienki.

Jack tarasował jej przejście, z którego musiała skorzystać, by wziąć psa na spacer. Rozstawił nieco szerszej stopy na ścieżce i skrzyżował ręce na piersi.

Zmarszczyła brwi, i zerknęła na zegarek.

- Kree jeszcze nie wróciła do domu. W czwartki pracuje do późna.
- Wiem. Jadłem z nią dzisiaj lunch.

Jak co dzień, poczynając od poniedziałku. Plus kilka kolacji. Znał już rozkład pracy siostry na wrywki.

- Aha. Możesz poczekać na nią w środku.
- Wpuściłabyś mnie do domu i zostawiła samego?
- A czemu nie? - Jej oczy, serdeczne i nieco zakłopotane, spoczęły na nim. - Przecież jesteś bratem Kree.

Ufała mu właśnie dlatego. Oczywiście. Skąd mu przyszło do głowy, że to coś osobistego? Przecież Julia go nie zna. Nie mogła nawet wytrzymać jego spojrzenia dłużej niż sekundę. Przeszepowała z nogi na nogę w taki sposób, że pomyślał, iż czułaby się lepiej w gnieździe zmił.

Powinien jej powiedzieć, że nie przyszedł do Kree. Powinien oddać jej kluczyki i sobie pójść. Czy nie sprawdził tego, co go tu sprowadziło? Nie znalazł prawdziwej Julii? Naiwnej, grzecznej dziewczynki?

Zabawne, ale jakoś nie był do końca przekonany... I nie miał ochoty sobie iść. A ona, jeśli ma zamiar iść z psem na spacer, jeśli chce, żeby on ją przepuścił, to niech mu to powie wprost, a nie bawi się w skradanie.

Oparł się biodrem o słupek ogrodzenia i powiódł wzrokiem dookoła, jakby po raz pierwszy oglądał dom i otoczenie.

- Sporo tu zrobiłaś.

Podziękowała mu uprzejmie, ale z rezerwą, jakby uważała, że jego stwierdzenie było czysto retoryczne. Co tylko jeszcze bardziej go nakręciło.

- Mnie się podoba - dodał. - Ale gdyby żył stary Plummer, to pewnie pogoniłby cię ze strzelbą.

Odrobinę zmrużyła oczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Ze wycięłaś jego żywopłot.
- Był za wysoki i zasłaniał widok.
- On cenił sobie swoją prywatność.

- Prywatność! - parsknęła z oburzeniem. - Potrzebna była piła łańcuchowa, żeby się przebić przez ten gąszcz.

- Ten żywopłot to było coś.

- Stary Plummer to był ktoś. - Uśmiechnęła się na wspomnienie cholerycznego odludka. - Na pewno wyjątkowo kiepski był z niego ogrodnik. Właściwie zostawiłam tylko cedr na tyłach.

- W północnym rogu?

- Owszem. Czemu pytasz?

- Któregoś lata zawiesiłem na nim huśtawkę. - Uśmiechnął się. - To wspaniałe drzewo.

Julia czuła dziwną mieszaninę zaskoczenia, zdumienia i zachwytu. Nie wspominając o tym, jaki efekt wywarł na niej jego uśmiech. Pokręciła głową.

- Nie będę cię pytać, jak pokonałeś żywopłot i uniknąłeś spotkania ze strzelbą Plummera.

- Nie chciałabyś tego wiedzieć.

Spojrzeni sobie w oczy. Tym razem Julia nie musiała odwracać wzroku, nie musiała uciekać. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Masz ochotę zobaczyć to drzewo? Chyba go zaskoczyła.

- Pewnie.

Julia szybko się odwróciła. Serce zrywało się jej do szalonego łomotu za każdym razem, gdy Jack się uśmiechał. To ten uśmiech był pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, gdy zobaczyła go w swoim ogrodzie.

No, jedną z pierwszych.

Dziś miał na sobie czarny t-shirt i dżinsy spłowiałe od częstego prania. Gdy schylił się nad McCoyem, pod ubraniem wyraźnie zarysowało się jego muskularne ciało. Wcielenie siły i męskości na tle jej pastelowych róż... które posadziła w miejsce niesławnego żywopłotu Plum-mera.

- Nie wiedziałam, że tak dobrze znasz to miejsce - rzuciła przez ramię.

- Mieszkaliśmy zaraz za rogiem, na Docker Street.

- Przypominam sobie.

- Tak?

- Kree przecież też tam mieszkała.

- Nie pamiętam, żebyś kiedyś przyszła do nas z wizytą.

Zatrzymali się na krawędzi trawnika na tyłach domu. Jack nie patrzył jednak na drzewo. Julia schyliła się, żeby spuścić McCoya ze smyczy. Czuła na sobie jego spojrzenie.

- Ciekaw jestem, czemu? - zapytał.

- A jak myślisz?

- Bałaś się jej starszego brata?

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Przerażliwie. Ale nie w tym rzecz. Kree nigdy mnie nie zaprosiła.

W jego srebrzystoszarych oczach coś błysnęło. Zaciśnął wargi. Promieniowało z niego napięcie, które wygłuszało wieczorne odgłosy do tego stopnia, że po chwili słyszała jedynie bicie własnego serca. Była pewna, że on coś powie, rzuci jej wyzwanie, zapyta, czemu nigdy nie odwiedziła przyjaciółki. Coś, co będzie zawierało słowo „slumsy”.

Lecz cokolwiek płonęło tak ostro w jego oczach, pozostało niewypowiedziane. Odwrócił się i odszedł. Zatrzymał się pod drzewem, oparł ręce na biodrach i uważnie przyglądał się oponie zawieszanej na najniższej gałęzi.

Podeszła bliżej. Jack wyciągnął rękę, złapał linę i sprawdził, czy należycie trzyma oponę. Julia tymczasem skupiła uwagę na jego szerokich ramionach, na opalonych bicepsach. Znowu wróciła do niej ta chwila, gdy zobaczyła go w ogrodzie. Zakreśliło się jej w głowie, zaschło w ustach. Zmusiła się do odwrócenia wzroku. Bała się, że zaraz zemdleje.

Musiła jakoś odwrócić swoją uwagę. Desperacko tego potrzebowała. Rzuciła więc patyk McCoyowi i przyglądała się, jak skoczył za nim w powietrze. Jack stanął obok. Wyczuła to całym ciałem, choć była do niego odwrócona tyłem. Roztarta ramiona, ale nadal czuła mrowienie skóry.

- Jak długo on u ciebie zostanie?

- Nie wiadomo. - Znowu rzuciła psu patyk. - Mitch miał kiedyś dom z ogrodem, ale po ślubie przeniósł się do mieszkania i nie mógł zabrać z sobą McCoya.

- Czy to nie powinno być na odwrót? Najpierw mieszkanie, a potem dom z ogrodem?

- Och, małżeństwo Mitcha jest bardzo nietypowe odparła bez namysłu. Zawstydzona zagryzła wargę. - Źle to zabrzmiało. Oboje dużo podróżują, więc nie mogą mieć psa ani ogrodu, o który trzeba dbać.

Nie skomentował tego, tylko rozejrzał się dookoła. Buda McCoya, grządka z ziołami i warzywami, huśtawka i piaskownica pod płótnem. Wyczuła w nim dziwne napięcie, gdy się temu wszystkiemu przyglądał. Spojrzał na nią.

- Kree mówiła mi, że wyszłaś za męża. Nie wspominała o dzieciach.

Dzieci? Dopiero po chwili zrozumiała. Huśtawka, piaskownica, porzucony samochódzik.

- Och, nie. Nie mam dzieci. To dla Josha.

- Josha?

- To synek Mitcha i Annabel.

- Jego też ci tu podrzucają?

Być może była to neutralna uwaga - ani ton Jacka, ani jego mina niczego nie zdradzały - ale Julia cała się zjeżyła.

- Tylko od czasu do czasu, gdy oboje muszą wyjechać. Nie mam nic przeciwko temu.

Jeśli chodzi o ścisłość, uwielbiała wizyty Josha. Z radością organizowała mu różne zajęcia, jakich nie miał na co dzień. Pobyty tutaj dobrze mu robiły.

Poczuła się dotknięta. Z całej siły rzuciła patyk McCo-yowi. Pies pobiegł za nim i zniknął za domem.

- Którędy on się wydostaje na zewnątrz? Ogrodzenie wygląda solidnie.

- Z przodu. Tam jest zbyt niskie.

Mruknął coś i podszedł do płotu. Przyglądał mu się to z tej, to z tamtej strony, a potem zmierzył krokami dystans między ogrodzeniem a domem.

- Po każdej stronie trzy metry sześćdziesiąt - powiedziała, odrobinę zbyt zgryźliwie.

- Chcę oddzielić ogród na tyłach domu i tam stworzyć mu wybieg. Zbieram na to pieniądze.

- A co z właścicielem psa? Czy to nie on powinien oszczędzać?

- Nie wydaje mi się, żeby to była twoja sprawa.

- Masz rację. - Spojrzał na nią z ukosa. - Twoja też nie powinna być.

- To mój płot i mój dom, więc to moja sprawa. Koniec dyskusji. Koniec wycieczki.

Koniec epizodu z Jackiem O'Sullivanem.

Zagwizdała na McCoya, a potem ruszyła w stronę frontowej części ogrodu.

- Poczekaj chwilę.

Wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, a ona wpadła na niego. Jego dłoń znalazła się na wysokości jej talii. A Julia za nic nie mogła się cofnąć. Nie mogła się ruszyć. Była w stanie myśleć jedynie o jego dotyku.

Ta myśl sprawiła, że zaschło jej w ustach. A może to dlatego, że stał tak blisko i nie próbował zwiększyć dystansu. Jej zmysły szalały. Oboje znieruchomieli. Wydawało się, że przestali oddychać.

A potem, gdy już myślała, że zaraz wybuchnie od przepełniającej ją nadziei, od świadomości, co będzie dalej czy też co chciałaby, by było dalej, on cofnął rękę. Nie gwałtownie, lecz wolno, delikatnie muskając jej brzuch.

I dotknął jej pępka. Wiedziała kiedy, bo odrzucił głowę, wciągnął z sykiem powietrze i cały zeszywniał.

Na jego twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie.

W innych okolicznościach to mogłoby być nawet śmieszne, ale nie teraz. Bo teraz stał zbyt blisko niej, tak blisko, że czuła ciepło jego ciała, a tam, gdzie jej dotknął, coś więcej niż tylko ciepło.

Zamknęła oczy, wyobraziła sobie jego szeroką dłoń z długimi palcami na jej nagim brzuchu. Mogłaby przysiąc, że czuje jego kciuk, który masuje skórę dookoła małego kolczyka i zsuwa się coraz niżej. Jej ciało zareagowało gorącą falą płynącą od wewnątrz.

- Masz kolczyk w pępku?

Julia zamruwała powiekami. Oprzytomniała i zobaczyła, jak jego wzrok przesuwa się błyskawicznie na brzuch. Przełknęła ślinę, zwilżyła wargi. Nie miała pojęcia, co ma powiedzieć, poza zwykłym:

- Tak.

Czy powinna mu opowiedzieć, jak się czuła po podpisaniu papierów rozwodowych? Czy umiałaby wyjaśnić tamtą falę niepokoju, a może lekkomyślności, czy też oderwania od rzeczywistości? Wtedy postanowiła, że nadszedł dzień, by zrobić coś zupełnie nie w stylu Julii, coś, co uświetniłoby początek nowego życia. Na przykład tatuaż.

Tylko że gdy stanęła w progu salonu Skin Pix, dawna Julia nie chciała siedzieć cicho. Zbuntowała się, bo nie chciała mieć na skórze barwnego motyla. Woląла coś mniej oczywistego.

I dlatego wyszła stamtąd ze srebrnym kółeczkiem w pępku.

Oczywiście nowa Julia w niczym się nie różniła od dawnej. Nie nosiła ubrań odsłaniających talię, by było widać ozdobę. Nigdy nie umiała też nikomu wyjaśnić, dlaczego to zrobiła lub czemu nie zdjęła kolczyka.

- Po prostu miałam na to ochotę. - Wzruszyła ramionami. Czowała się skrepowana
- Lepiej już pójść. Rozgość się. Kree powinna niedługo wrócić.

- Nie przyszedłem do Kree.

Nadal stał zbyt blisko, nadal tarasował jej przejście, nadal było jej gorąco i kręciło się jej w głowie.

- Przeprowadziłem twoje auto. Wyjął kluczyki z kieszeni.

- Więc chyba powinnam postawić ci drinka - odparła. Zawahał się tylko przez moment, lecz wystarczająco długo, by Julia zauważyła, że jej bez troski ton wcale nie rozładował napięcia. Następnie odpowiedział na jej propozycję wyważonym głosem:

- Miałem wrażenie, że oboje doszliśmy do wniosku, iż to nie jest dobry pomysł.

- To ty tak powiedziałaś.

- Czekał na ciebie jakiś facet.

- Nie zapraszałam go. - Wytrzymała jego spojrzenie, co było o tyle zaskakujące, że cała drżała. - Dzisiaj zadzwonił i zaprosił mnie na kolację, ale mu odmówiłam.

- No i? Oblizła wargi.

- I chcę ci postawić drinka.

- No, to wiesz, gdzie można mnie znaleźć.

- W Lionie?

- Owszem. - Jego wargi drgnęły kpiąco. - Ale oboje wiemy, że Julia Goodwin w życiu nie pojawi się w takiej spelunie.

I nim zdążyła się zastanowić nad odpowiedzią, podał jej kluczyki od auta i odszedł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Szkoda, że to nie ona miała ostatnie słowo. Szkoda, że nie zostawiła go skonsternowanego w ogrodzie i nie odmaszerowała. Rzecz w tym, że nie był to specjalnie prawdopodobny scenariusz, biorąc pod uwagę jej temperament. To Mitch był rodzinnym specjalistą od ostrych ripost. A Chantal zebrała wszystkie geny mądrości.

Poza tym to byłoby nieuprzejme. A Julia zawsze pamiętała o grzeczności.

Jednak żałowała... Gdyby tak mogła się na nim odegrać? Tylko jak wymyślić coś równie impertynenckiego, jak jego reakcja na jej kolczyk w pępku? Ale gdyby jej się udało... To by było coś! Zrobiło się jej przyjemnie na samą myśl o tym, że miła, grzeczna Julia Goodwin mogłaby zaszokować największego łobuza w historii Plenty. To było upajające wrażenie, przyjemna, choć nierealna fantazja. Przyjemności nie zmniejszyła nawet pani Hertzig, która czekała na nią cierpliwie przy płocie.

- Witaj, kochanie. Widzę, że wybrałaś się na spacer z psem.

Sąsiadka wyraźnie miała ochotę uciąć sobie pogawędkę.

- Byliśmy aż w Maisie i z powrotem - zaspokoila jej ciekawość Julia.

Pani Hertzig nie zaczęła od pytania o ogród, więc Julia od razu wiedziała, że coś ją dręczy. Kree często powtarzała, że pani Hertzig nigdy niczego długo w sobie nie dusi. Zawsze chętnie dzieli się tym ze słuchaczami.

- Nie mogłam nie zauważyć, że miałaś dzisiaj gościa. - Zasznurowała wargi po słowie „gość”, dając Julii czas do namysłu. Oho! - Jeśli się nie mylę, to był ten dziki chłopak O'Sullivanow. - Chłopak? To określenie chyba niespecjalnie pasowało do gościa Julii.

- Przyjechał w odwiedziny do siostry, tak?

- Owszem. I...

- Wredny typ. Czy to rozsądne wpuszczać go do ogrodu, kochanie? Rodzicom by się to nie spodobało. Twoja matka nadal pamięta o oknie w biurze, które kiedyś wybił.

- Teraz jest dorosły - zauważyła Julia, ale sąsiadka już nabrała rozpędu.

Graffiti, wandalizm, kradzieże, podpalenia - jej zdaniem wszystkie przestępstwa w Plenty na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat można było połączyć z „tym dzikim chłopakiem O'Sullivanow”. Przesada, nawet jak na nią.

- Pani Hertzig! - spróbowała Julia, trochę bardziej stanowczo. - Jack nawet nie mieszkał w Plenty, gdy włamano się do Larbetta.

- Ale umie prowadzić samochód, co? I znowu się zaczęło!

Julia zmarszczyła czoło. Nigdy nie pomyślała, że miejscowe plotki mogą mieć takie oblicze. A potem usłyszała słabe brzęczenie telefonu.

- Przepraszam panią, ale dzwoni mój telefon. Lepiej pobiegnę i go odbiorę.

Poczuła wwiercający się w plecy wzrok, pełen dezaprobaty. Tak naprawdę nie było co spieszyć się do telefonu, bo najprawdopodobniej Kree już wróciła, a nawet jeśli nie, to jest przecież automatyczna sekretarka. Rzecz w tym, że nie chciała słuchać dalej historyjek o awanturycznej młodości Jacka, zwłaszcza że dobrze wiedziała, iż mają one mało wspólnego z rzeczywistością.

Gdy dotarła na werandę, telefon przestał dzwonić. Otworzyła drzwi i krzyknęła:

- Jeśli to do mnie, to już jestem.

W drzwiach salonu pokazała się głowa Kree - w tym tygodniu z włosami w niesamowitym, truskawkowym odcieniu.

- Chantal - wyszeptała bezdźwięcznie.

Od tamtego wieczora, gdy Julia nie zjawiła się na kolacji, siostra traktowała ją chłodno. Pewnie zrobiłaby się lodowata, gdyby się dowiedziała, że Julia nie umówiła się na randkę z Danem.

- Wezmę McCoya - zaproponowała Kree i podała jej słuchawkę. Puściła do niej oko.

- Nie mów nic, czego ja bym nie powiedziała.

Julia usadowiła się wygodnie na najbliższym fotelu i podniosła słuchawkę do ucha.

- Cześć, siostrze. Co nowego?

Siedziała w niezmienionej pozycji, gdy jakiś czas później zjawiła się Kree.

- Ten pies to niezły cwaniak. Czy wiesz, co on... -

Stanęła jak wryta na widok miny Julii. — Hej, co jest? Coś z rodzicami? Jakiś wypadek?

- Nie, nie o to chodzi. - Julia próbowała zdobyć się na uśmiech, ale bezskutecznie.

Wbiła wzrok we wzorzysty dywan na podłodze. Szukała słów, by streścić rozmowę z Chantal. - Znasz szwagierkę Paula, która pracuje w kancelarii prawniczej Chantal?

- Janet Harrington?

- Powiedziała Chantal, że Paul zostanie ojcem.

- Rany. - Kree przeczesła palcami nastroszone włosy. - Jak to się stało?

- Pewnie normalnie.

Kree jakoś to nie rozśmieszyło. Spojrzała z troską na przyjaciółkę.

- Jak się z tym czujesz?

- Jeszcze nie wiem. No, bo jak mam się czuć? On już nie jest moim mężem. Ma nową żonę i najwyraźniej postanowili powiększyć rodzinę.

- Co nie znaczy, że nie możesz czuć się podle.

- No, dobrze, czuję się nieco... Sama nie wiem...

- Do licha, byłaś żoną tego głupka przez sześć lat i nie zostawił ci po sobie nic wartościowego. Ona wyszła za niego pięć minut temu i już dał jej dziecko. Masz prawo czuć się oszukana.

Czy tak właśnie się czuła? Czy to wyjaśniało dziwne poczucie pustki, emocjonalną czarną dziurę? Może oszustwem był jej brak emocji. Powinna czuć coś bardziej ewidentnego, jak ostre ukłucie zazdrości czy goryczy albo żalu.

Zawsze chciała mieć dziecko. Pragnęła tego desperacko, ale Paul chciał poczekać jeszcze kilka lat. Upierał się przy tym. Teraz zbliżała się do trzydziestki. I nie rysowała się przed nią perspektywa doświadczenia radości ciąży, narodzin czy macierzyństwa.

- A może ja nie mogę mieć dzieci, Kree? Może nigdy nie będę ich miała?

Jej głos brzmiał głucho. Jednak w jej oczach musiało coś być, jakiś ślad cierpienia czy ton błagania, bo Kree usiadła na oparciu fotela.

- Och, skarbie, czemu tak myślisz? Przecież nigdy się nie starałaś o dziecko.

- A gdy już w końcu spróbuję, moje jajniki będą pewnie przypominać suszone śliwki.

- Pewnie tak. - W uśmiechu Kree było jednak współczucie. Uściskała przyjaciółkę.

- Ale, słuchaj, po co ci dziecko? Musisz się opiekować mną. A ja to dopiero potrafię być niedojrzała.

Julia uśmiechnęła się wbrew sobie.

- A jeśli ci się zdaje, że brak dziecka jest taką tragedią, to pomyśl, co by było, gdybyś miała dziecko z Paulem. A jak wdałoby się w tatusia? Potrafisz sobie wyobrazić dwuletnią wersję twojego byłego męża? Jego napady złości? - Kree wzruszyła melodramatycznie ramionami. - Sądzę, że jednak nie chciałaś mieć dziecka z tym facetem!

Uściskała ją jeszcze raz i zerwała się na równe nogi. Kree nie potrafiła długo usiedzieć w jednym miejscu.

- Dość już tego smęcenia. Mam ochotę się czegoś napić. Dasz się namówić?

- Chyba nie.

- No, chodź - kusila ją. - Wlejmy w siebie coś egzotycznego, a potem porozmawiamy o twoim życiu seksualnym.

Julia wzniosła oczy do góry.

- Och, zapomniałam. Przecież ty nie masz życia seksualnego. I trzeba coś z tym zrobić, jeśli kiedykolwiek masz się dorobić dziecka.

- Nie zamierzam podrywać kogoś tylko po to, by zajść w ciążę, jeśli to właśnie masz na myśli. Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi.

- Wiem, wiem. Mówię tylko, że nie znajdziesz tego swojego księcia z bajki, jeśli połowę życia będziesz spędzać w domu. Musisz częściej wychodzić, bawić się, pocałować kilka żab.

- Spotykałam się już z całym mnóstwem żab. Jednak żadnej nie pocałowałam.

- No, tak, twoja siostra ma w tym, zdaje się, swój udział.

Atmosfera nieco się rozluźniła. Kree nachyliła się i pociągnęła Julię za włosy związane w koński ogon.

- Nie chcesz spróbować nowego koktajlu, ale co powiesz na nowy kolor?

Julia zaczęła kręcić głową.

- No, dajże spokój, dokładnie tego ci teraz trzeba. Zajmę się tobą jutro po pracy. Ostrzygę cię, zrobię czerwone pasemka. Nim zapadnie wieczór, staniesz się nową kobietą.

Kree już wiele razy miała ochotę zająć się włosami Julii. A Julia po raz pierwszy miała na to chęć. „Nim zapadnie wieczór, staniesz się nową kobietą”. Podobało jej się to.

Kree wyczuła w niej skłonność do kapitulacji. Okrążyła fotel. Paplała o kolorach i fryzurach. Była tak podekscytowana, że z wrażenia przeczesła dłonią własne włosy. Sterczały teraz na wszystkie strony. Julia pokręciła stanowczo głową. Co też jej chodzi po głowie?

- Przykro mi, Kree, ale podobają mi się moje włosy. Nie chcę ich zmieniać.

Kree wpatrywała się w nią przez długą chwilę. W jej błękitnych oczach pojawiła się nietypowa dla niej posepna nuta.

- A czy cała podobasz się sobie taka, jak jesteś?

- Nie wiem - przyznała Julia uczciwie.

- To daj znać, gdybyś jednak zmieniła zdanie.

Tej nocy pytanie Kree dźwięczało Julii w uszach. Podobnie jak następnego dnia, w pracy. Niektóre aspekty swojego życia bardzo sobie ceniła. Na przykład, dom. Oraz bliskie stosunki z rodziną. Przyjaźnie, miejsce w społeczności.

Lecz jeśli byłaby do końca zadowolona, nie leżałaby bezsennie w nocy, zastanawiając się nad swoim życiem. Nie chodziłaby na randki w ciemno w nadziei, że znajdzie męża. Nie czułaby tej ziejącej pustki za każdym razem, gdy pomyślała o przyszłości bez męża i rodziny.

I już na pewno nie oddawałaby się fantazjowaniu o przemianie w nową kobietę. Ostatnim razem, gdy wpadła w taki nastrój, skończyło się kolczykiem w pępku.

Ale czy to źle? Czy naprawdę chciała do końca życia nosić etykietkę grzecznej dziewczynki?

W drodze do domu ogromnym wysiłkiem woli nie zajrzała do warsztatu Billa. Okazało się, że mogła to sobie darować. Jack był na zewnątrz, rozmawiał z kierowcą czerwonego auta. Tak ją zaskoczył jego widok, że stanęła jak wryta na środku chodnika.

Czas mijał, a ona gapiła się na niego. Jedną dłoń położył na dachu samochodu, a drugą wystukiwał rytm na drzwiach kierowcy. Jego włosy lśniły w słońcu. Miał na sobie czarną koszulkę bez rękawków. Wyglądał oszalamiająco. I rozmawiał z... kobietą. Za kierownicą czerwonego auta siedziała kobieta, która robiła wrażenie równie szybkiej, co samo auto. Kobieta, która pewnie nie bałaby się zrobić sobie tatuaż. Osoba, która nie wahałaby się wejść do baru i postawić mężczyźnie drinka, zwłaszcza jeśli ten mężczyzna wyglądałby jak Jack O'Sullivan.

Poczuła ucisk w żołądku. I nagle powiedziała do siebie pod nosem:

- Nim zapadnie wieczór, staniesz się nową kobietą.

Obróciła się na pięcie i pomaszerowała prosto do centrum handlowego. Weszła do salonu Hair Today i zajęła miejsce. Na jej widok Kree osłupiała.

- Powiedz mi, że to się nie dzieje naprawdę.

- Nie wolno ci się zbliżyć do mnie z nożyczkami - odparła stanowczo Julia. - Ale jeśli upierasz się przy czerwieni, to w porządku, lecz zrób tylko pasemka. Jeśli wyjdę stąd z czerwonymi włosami, to szukaj sobie nowego domu.

Kree miała świetny pomysł z tą czerwienią, pomyślała Julia. Chyba z dwudziesty raz studiowała swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Zarzuciła głową w niespieszny, wyważony sposób, jaki podpatrzyła u modelek z reklam szamponów. Stwierdziła, że robi się w tym coraz lepsza. Pasma włosów zatoczyły łuk dookoła głowy i opadły na ramiona.

Wybuchnęła głośnym śmiechem, przede wszystkim dlatego, że nie mogła się powstrzymać - przepelniała ją radość i zachwyty.

- I co z tym zrobisz? - zapytała Kree, gdy zobaczyła zafascynowaną minę przyjaciółki. Dała jej sójkę w bok. - Wykorzystasz swój nowy wygląd podczas polowania na żabę?

Parsknęły śmiechem. Kree próbowała namówić Julię na wyprawę do nocnych klubów w Clifton. Julia odmówiła, choć nie zdradziła powodu.

Teraz pozostało jej tylko zdecydować, co na siebie włoży. Zaczęła od tego, że odetchnęła głęboko i zrobiła coś, czego, jak dotąd, w życiu nie zrobiła, coś, co świadczyło o złym wychowaniu, co było na granicy tego, co dozwolone. Otworzyła szufladkę z kosmetykami Kree i zaczęła się malować.

Jack wbił wzrok w swojego drinka, jakby to on był przyczyną jego kiepskiego nastroju. Dobrze wiedział, że to nie wina alkoholu. Nie zawinił również sąsiad przy barze, którego zbył krótko, gdy tamten próbował zagaić rozmowę. Siedział zgarbiony nad drinkiem. Barman przyglądał mu się taki wzrokiem, jakby patrzył na wściekłego psa.

Mądry facet, pomyślał Jack.

Był nie w sosie, bo wcale nie chciał tu przebywać, ani w tym barze, ani w ogóle w Plenty. Nieważne, że upłynęło tyle czasu - to miasto nigdy się nie zmienia. A on zawsze na nie tak samo reaguje. Przejeżdżał obok starych silosów na zboże na obrzeżach miasta i znowu poczuł się tak, jak wtedy, gdy miał jedenaście lat... albo trzynaście czy piętnaście. Bez różnicy. Był intruzem, osobą podejrzaną, obiektem niechcianej litości. To nie jest miejsce dla niego.

Rozejrzał się znowu po pubie, a potem pokręcił ze wstrętem głową. Kogo tu szuka? Jedyna osoba, z którą chciałby się tu spotkać, siedziała w swojej chatce z bajki i robiła na drutach, układała kwiaty lub zabawiała mężczyzn jeżdżących volvo. Co z tego, że próbował ją sprowokować, żeby tutaj przyszła. Nic z tego nie będzie.

Równie dobrze mógłby pójść do niej, załomotać w te śliczne, niebieskie drzwi i zażądać odpowiedzi na nurtujące go pytania. Dlaczego kupiła dom w biednej części miasta? Czemu nie miała pieniędzy na ogrodzenie? Skąd pomysł, by założyć kolczyk w pępku?

Rzecz jednak w tym, że do poprawy nastroju potrzebne mu były nie tyle odpowiedzi na te pytania, których zresztą nie miał prawa stawiać, lecz seks, namiętny seks. I może nawet coś by z tego wyszło, gdyby nie warczał na każdą kobietę, która zerknęła w jego kierunku. Kilka próbowało.

Może później, gdy upora się z tym drinkiem. , Najpierw poczuł zapach perfum, tak intensywny, że przebił się przez opary papierosowego dymu oraz piwa. Rozpoznał ten zapach. Natapirowana fryzura, sportowy samochód, mały problem z gaźnikiem.

- Cześć.

Wcisnęła się między jego stółek a sąsiedni. Była tak blisko, że dotknęła jego uda i ramienia. Wzdrygnął się.

- Nie przywitasz się?

Po południu w warsztacie musiał zachowywać się poprawnie ze względu na to, że był w pracy i rozmawiał z klientką. Teraz miał wolne. Nie musiał być miły. Uznał, że szorstkie „nie” powinno załatwić sprawę, ale ona tylko się roześmiała i przysunęła jeszcze bliżej.

- Pomogłeś mi dzisiaj uporać się z moim małym kłopotem. Mogę ci postawić drinka?

Czy ona nie widzi, że ma pełną szklanekę? Może ta maź, którą nałożyła na powieki, osłabia wzrok?

- Nie chce mi się pić.

Pięć palców z krwistoczerwonymi paznokciami wbiło się w jego ramię. Mógłby przysiąc, że dostał gęziej skórki.

- A może wolisz zatańczyć? Świetna muzyka.

- Nie tańczę - warknął przez zęby.

- Hej, Prudence, chcesz mi odstraszyć klienta? - zawołał barman.

Dobrze, że barman się wtrącił, bo przynajmniej dała mu spokój. Wcześniej jednak poinformowała go w kilku słowach, co traci. A on pomyślał, że nie jest to strata, która nie pozwoli mu spać po nocach.

Najwyraźniej pomylił się w kwestii czynnika, który poprawiłby mu nastrój. Mógł tu siedzieć aż do rana i saczyć drinka, a nadal nie byłby zainteresowany ofertą Prudence. Trzeba się stąd zmywać. Opróżnił szklanekę do dna i oparł dłonie na barze. Alkohol palił w gardło. Po chwili Jack podniósł głowę i spojrzał w lustro wiszące na wprost baru. I wtedy zobaczył, jak do pubu wchodzi Julia.

Trzy rzeczy dotarły do niego jednocześnie. Miała na sobie czarną sukienkę. Zrobiła coś z włosami. On nigdzie nie idzie.

Rozejrzała się wolno dookoła, jakby kogoś szukała. W końcu jej wzrok spoczął na nim. Ruszyła w jego kierunku. Przedzierała się przez tłum gości i cały czas nie spuszczała go z oczu. Zniknęła za jakimś ogromnym facetem w czerwonej, kraciastej koszuli. Gardło mu się ścisnęło. Po chwili znowu ją zobaczył. Śmiała się z czegoś, co powiedział tamten. Ulżyło mu. Odrobinę.

Podniosła głowę i spojrzała prosto w lustro. Zobaczyła, że się jej przygląda. Uśmiechnęła się. Poczuli się tak, jakby dostał obuchem w głowę. Mógłby odpowiedzieć uśmiechem - powinien odpowiedzieć uśmiechem - ale każdy nerw w jego ciele był napięty do granic możliwości. Pokonała ostatnie trzy metry i zatrzymała się koło niego.

- Najwyższy czas - powiedział krótko. Zamrugła powiekami, spoważniała, ale nie odwróciła wzroku. Wciąż patrzyła mu prosto w oczy. W lustrze.

- Co pijesz?

- Poproszę burbona.

Przepchnęła się między stołkami. Próbowwała przywołać barmana, tymczasem Jack skorzystał z okazji i patrzył na nią. Zauważył, że jej czarna sukienka to w rzeczywistości spódniczka i top. W porównaniu z kusymi sukienkami, jakie obowiązywały w tym miejscu, był to całkiem grzeczny strój. Spódnica podkreślała kształtne biodra, choć nie była zbyt obcisła. Miała też bardzo przyzwoitą długość - do połowy łydki. Pod nią rysowała się wysoko wycięta bielizna. Poczul falę gorąca.

Podniósł wzrok. Julia miała bluzkę bez rękawów w drobne kwiatki. Pochyliła się nad kontuarem. Bluzka uniosła się do góry. Między jej rąbkami a spódnicą ukazał się skrawek nagiej skóry.

Chyba za dużo czasu spędził na zachodzie, zbyt długo widywał jedynie skórę spaloną słońcem. Widok delikatnej, mleczej skóry był ponad jego siły. Miał ochotę zawyć.

Podniósł głowę i zobaczył, że ona mu się przygląda. Doskonale wiedziała, na co patrzył - dostrzegł to w jej oczach, w rumieńcu ogarniającym szyję, w nieco spiętym uśmiešku.

- Barman jakoś nie chce tu podejść.

- Bo go skutecznie odstraszyłem.

Końcówkę jego wypowiedzi zagłuszyła muzyka. Zespół właśnie zaczął znowu grać, i to głośniejsze niż przedtem. Julia wzruszyła ramionami i przysunęła się bliżej.

- Nie usłyszałam, co powiedziałaś.

Odsunęła się, ale nie do końca. Czekwała, aż powtórzy swoje słowa. Na ucho. Na samą myśl o tym zaschło mu w ustach. Wolno pochylił się do niej. Miał teraz przed sobą jej ucho i szyję. Jej delikatną, gładką, pachnącą szyję. Przełknął ślinę. Wsunął kosmyk jej gęstych włosów za ucho. Chciał mieć pretekst, żeby ich dotknąć i sprawdzić, czy rzeczywiście są tak jedwabiste, jak się wydaje.

- Barman... Odstraszyłem go.

Kiwnęła głową. Oboje się wyprostowali. Znowu próbowała przywołać barmana. Lecz Jack poczuł, że wcale nie chce pić. Pragnął mieć ją blisko, chciał dotykać tych włosów, całować szyję. Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. Na chwilę zatonął w tej niesamowitej mieszance szarej zieleni i nasyconego, ciepłego brązu.

- Chodźmy zatańczyć - wydusił z siebie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Julia uwielbiała tańczyć.

W zaciszu domowym często tańczyła w rytm jakiegoś szybkiego utworu z muzycznej kolekcji Kree. Czasem zwiększała głośność do takiego poziomu, że pastelowe ściany jej domku aż się trzęsły od basów.

A może po prostu dygotały ze strachu. Była niemal pewna, że muzyczny gust Bena Plummera nie obejmował hip-hopu.

Gdy szła na parkiet do tańca w przylegającym pomieszczeniu, serce biło jej w szaleńczym tempie. Była podekscytowana, podniecona i rozradowana. Och, chciała zatańczyć, owszem. Miała ochotę pokręcić biodrami, powywijać rękami na sposób, jakiego nauczyła się od Kree podczas pewnego babskiego wieczora, gdy margarita lała się strumieniami. I miała ochotę zakolysać głową, aż jej nowe, seksowne włosy zalśniły w świetle reflektorów.

Chciała zapomnieć się w tańcu, wyrzucić z pamięci wszystkie kobiety w czerwonych autach, pozbyć się myśli o całowaniu żab, a już szczególnie o Paulu i dzieciach oraz pustce, jaka może się nigdy nie zapełnić.

Zespół grał teraz szybki, rockowy kawałek, gdy Jack wyciągnął ją na środek parkietu. Krew pulsowała jej w rytm muzyki. Całe jej ciało rwało się do tańca. Odrzuciła głowę i poczuła, jak jej włosy zatoczyły łuk w powietrzu. Roześmiała się na głos.

Śmiała się, wirowała i wywijała rękami. Przez ciężką zasłonę włosów zobaczyła, że Jack się jej uważnie przygląda. Był chyba prawie tak zdezorientowany, jak wtedy, gdy odkrył kolczyk w jej pępku. Zdezorientowany i pod wrażeniem. Dokładnie tego jej było trzeba. Parsknęła śmiechem, a potem przytuliła się do niego. Odgarnął jej włosy.

Gdy poczuła muśnięcie jego palców na szyi, przeszył ją dreszcz. Nie wywołało go zimno, lecz nagła fala gorąca.

Muzyka, tłum ludzi dookoła, jej rozbudzona samoświadomość - wszystko oddaliło się do innego wymiaru. Jej zmysły wypełniło poczucie jego bliskości, jego zapach, dotyk szorstkich palców. Jack schylił głowę i wyszeptał jej prosto do ucha:

- Co cię tak śmieszy?

Poczuła jego oddech na skórze. Kciukiem pieścił jej ucho. Nagle wpadł na nich jakiś rozpędzony tancerz. Poleciała do przodu.

Prosto na Jacka.

Na długą chwilę zapomniała o oddychaniu, nie była w stanie myśleć. Zakręciło się jej w głowie. Jej uda dotykały jego ud, piersi przywarły do jego mocnego torsu. Złapał ją za ramiona, żeby pomóc jej odzyskać równowagę. A ona oparła dłonie w miejscu, gdzie miękka tkanina bawełnianej koszuli była zatknięta za pasek opiętych dżinsów.

Wciągnęła do płuc zapach czystej koszuli oraz rozgrzanej, męskiej skóry. Jej zmysłami zawładnęła pierwotna tęsknota. Miała ochotę zarzucić mu ramiona na szyję i przyciągnąć go do siebie, wtulić twarz w jego koszulę.

A on zareagował tak, jakby potrafił czytać jej w myślach. Zesztywniał cały. Odsunęli się od siebie i spojrzeli sobie prosto w oczy. Melodia skończyła się mocnym łomotem perkusji. A potem zapadła cisza.

- Nie odpowiedziałaś mi, z czego się śmiałaś.

- Och, tak tylko. To ten taniec. Nieczęsto mi się to zdarza. - Pokazała szerokim gestem pomieszczenie dookoła. - A w każdym razie nie w takich okolicznościach.

- Przecież ci mówiłem, że to nie jest miejsce w twoim stylu.

Nie to miała na myśli. Lecz nim zdołała wyjaśnić, o co jej chodziło, wyłączono reflektory, pozostawiając jedynie wirującą kulę pod sufitem. Następna melodia zaczęła się od kilku akordów gitary. Ballada...

Pary zaczęły tańczyć, przytulone, a samotni zebrali się przy barze. Puls Julii przyspieszył. Zdecydowanie wyprzedzał wolny rytm melodii. Poczula dłoń Jacka na plecach. Prowadził ją w stronę baru.

Nie. Zatrzymała się tak gwałtownie, odwróciła tak szybko, że niemalże na nią wpadł. Nie mogła na niego spojrzeć, nie na tę surową, zamkniętą twarz. Dlatego skupiła wzrok na jego piersi, na górnym guziku koszuli.

- To bardziej w moim stylu.

- Chcesz zatańczyć? - zapytał wolno.

- Tak.

Ten moment zawieszenia trwał całą wieczność. Julia nie oddychała, wysyłała do niego nieme błaganie. Zatańcz ze mną, Jack. Proszę cię, nie odchodź.

Mruknął coś pod nosem. Julia wzięła to za pozytywną odpowiedź. Położył jej dłonie na ramionach i cofnął się na parkiet. Zaczęli tańczyć. Czują jego uda przy swoich. Pozwoliła sobie objąć go za szyję. W końcu wypuściła z ulgą długo wstrzymywany oddech.

Uśmiechnęła się z satysfakcją i oparła policzek o jego pierś. Kołysali się wolno. Dwa lata minęły od jej rozvodu, trzy od odejścia Paula, a jeszcze więcej od czasu, gdy była blisko z mężczyzną. To nie powinno być takie miłe, takie kojące. Przez kilka minut powinna czuć

się niezręcznie, powinni deptać sobie po palcach i stukać się kolanami, ale z Jackiem jakoś wszystko od razu zaskoczyło.

Zamknęła oczy i nuciła cicho. Nigdy nie przepadała specjalnie za tą piosenką, ale teraz pragnęła, by nigdy się nie skończyła. Niestety.

Zamrugała powiekami i wróciła do rzeczywistości.

Ludzie opuszczali parkiet, niektórzy tworzyli grupki na jego brzegach. A oni, zupełnie nieświadomi świata dookoła, pozostali wtuleni w siebie. Julia poczuła zdradliwy rumieniec i charakterystyczny ucisk w żołądku. Czowała, że Jack jej się wnikliwie przygląda i bez trudu odczytuje jej nastrój.

Chciała, żeby ją pocałował. I wiedziała od razu, że on też tego chce. W końcu uniósł dłoń, a potem się zawahał. Musnął jej policzek. Przeszył ją rozkoszny dreszcz.

- Chciałabyś się stąd wynieść? Natychmiast.

Lecz nim zdążyła odpowiedzieć, dotarły do nich jakieś głosy. Jeden z nich powtórzył kilkakrotnie jej imię.

- Julia? To naprawdę ty! Mówiłem, że to ty, ale Kerrie nie chciała wierzyć. Ty tutaj? Kto by pomyślał?

Najwyraźniej nie Mel McLaren ani Kerrie Hall. Julia odwróciła się do kolegów z pracy ze słabym uśmiechem. Nie, żeby to zauważyli - oboje wpatrywali się nieprzytomnie w Jacka. Nie nauczyli ich w domu, że to niegrzeczne? .

Mel miał oczy jak spodki.

- Mamy duży stół przy parkiecie. Może się dołączyć?

Julia odchrząknęła.

- Mamy miejsce przy barze...

- Które bez wątpienia przestało być waszym jakieś dwie sekundy po tym, jak zeszlście ze stołków - wtrąciła się Kerrie.

- No, więc jak? - nalegał Mel.

Sądząc po minie Jacka, to ona musiała zdecydować. Zagryzła wargę. Jeśli powie, że właśnie miała wyjść z Jackiem O'Sullivanem, to jutro z samego rana będzie o tym wiedział cały sklep, a kilka godzin później całe Plenty. Ale przecież chciała z nim wyjść. Nim zabrakło jej odwagi.

- Nie zamierzam długo zostać - próbowała się wymigać. Szukała pomocy u Jacka.

- Na mnie nie liczcie - mruknął krótko. - Dzięki za taniec.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając Julię na pastwę dociekliwych pytań.

- Migdałaś się z O'Sullivanem? Jejku, jejku!

Mel był zdaje się pełen respektu, a Kerrie oburzona. A Julii było najzupełniej obojętne, co kto pomyśli. Stała i patrzyła, jak O'Sullivan odchodzi, nie pytając jej o zdanie. Czowała się... oszukana.

Właśnie tak, oszukana. To słowo dobrze oddawało sytuację. Nie po to zadała sobie tyle trudu, żeby teraz zostawił ją po pięciu minutach.

Mel wziął ją pod ramię i powiedział:

- No, chodź do nas.

Na co ona odsunęła się i odparła:

- Przykro mi, ale nie mogę zostać. Mam jutro ranną zmianę.

W pierwszej chwili pomyślała, że go straciła - te długie nogi na pewno zaniósły go już daleko - lecz nagle zobaczyła jakiś ruch na schodach prowadzących do przylegającego do pubu hotelu. Postać wyszła z cienia i znalazła się na podeście na wysokości pierwszego piętra. Zaskoczenie trochę ostudziło irytację Julii.

Mieszka tutaj?

- Jack? - Zatrzymał się w połowie kondygnacji. A właściwie kompletnie zamarł. - Gdy pytałeś, czy chcę wyjść z pubu, myślałam, że chodziło ci o nas oboje.

Nie podniosła głosu, jednak niósł się on mocno i wyraźnie przez opustoszały dziedziniec. Brzmiał jak głos kobiety, która doskonale wie, co robi.

Jego westchnienie nie dotarło do jej uszu, lecz i tak się go domyśliła.

- Wracaj tam, Julio. Idź do swoich przyjaciół.

- To nie są moi przyjaciele. Znamy się z pracy, ale nie spotykam się z nimi na gruncie towarzyskim, a już na pewno nie chcę teraz do nich wracać. Zwłaszcza że zależy im jedynie na tym, by mnie wypytać o ciebie.

Julia poczuła falę irytacji. Przeszła przez dziedziniec, podniosła głowę i spiorunowała go wzrokiem.

- Powiedz im, że odesłałem cię do domu.

Najbardziej rozwścieczyła ją insynuacja, że nie ma prawa tu być. Dotąd nigdy nie podejrzewała siebie o choleryczny temperament, a tu proszę! To on kazał jej powiedzieć:

- Mam takie samo prawo być tutaj, jak ty, Mel i każdy inny!

Zespół w środku zaczął grać następną piosenkę, więc nie usłyszała odpowiedzi Jacka. Jeśli jakakolwiek w ogóle padła.

Jej krew zawrzała. Była zła, że musi wyciągać szyję, żeby go widzieć, podnosić głos, żeby ją słyszał.

- Pójdę sobie, jeśli zejdiesz tu do mnie i odpowiesz mi na jedno pytanie.

Piosenkarz odśpiewał dwie linijki tekstu starego przeboju, nim Jack wzruszył ramionami, mruknął coś pod nosem i zaczął schodzić. Czekala na niego na dole. Neon rzucał na nią nieziemską poświatę.

- Mieszkasz tutaj?

- Tak.

- Dlaczego? Myślałam, że zatrzymałeś się u Billa.

- On mnie zawsze zaprasza, ale tylko karzeł byłby w stanie wyspać się na jego kanapie.

Nie zastanawiała się nad tym, ale mieszkanie przy warsztacie było pewnie mikroskopijne. Idealne dla kawalera takiego jak Bill, ale już nie dla gości, a zwłaszcza nie dla gości o gabarytach Jacka, który właśnie się odwrócił na pięcie i chciał odejść.

Julia odruchowo złapała go za rękę.

- Dokąd?

- Na górę. Do łóżka. Zadałaś już swoje pytanie. A ja odpowiedziałem.

- To nie było to pytanie. Dobrze o tym wiesz! - Zacisnęła kciuki na szczęście. Mogła tylko mieć nadzieję, że nie zrobi z siebie kompletnej idiotki. - Czemu zmieniłeś zdanie?

- W jakiej sprawie?

- Tego, co miałeś na myśli, gdy pytałeś, czy chcę stamtąd wyjść.

Spojrzał na jej wargi. Zaczęły ją mrowić. Poczula też ucisk w żołądku.

- Nie myślałem wtedy... - przyznał.

Gdyby myślał, toby z nią nie zatańczył, nie kusiłby losu. I na pewno nie czułby aż takiego żalu, gdy pojawili się jej koledzy z pracy.

- To nie żadna odpowiedź. Jack, czy ty nie możesz ze mną rozmawiać normalnie? Jestem już duża, potrafię przyjąć prawdę. Jeśli nie jesteś zainteresowany, to czemu mnie zwodziłeś? Dlaczego patrzyłeś na mnie tak, jakbyś nie mógł się doczekać, kiedy mnie dotkniesz, pocałujesz?

Gdy tylko to powiedziała, pożałowała swoich słów. Oczy się jej rozszerzyły, przez chwilę miała rozchylone wargi, a potem zacisnęła je mocno. To by było na tyle w kwestii normalnej rozmowy, pomyślał Jack i skrzywił cynicznie usta. Zaraz zacznie przeproszać, zagryzać dolną wargę, a to już naprawdę go wkurzy...

- Przepraszam, nie powinnam tak mówić.

- Czemu? - Zrobił krok w jej stronę.

Zagryzła wargę i cofnęła się. Jack podszedł bliżej, a ona uciekła. Aż znaleźli się przy ścianie.

- Tego właśnie chcesz, Julio? Żebym cię dotykał? Dotknął jej włosów, przesiał je przez palce, odgarnął jedwabiste kosmyki z jej karku. Spojrzał prosto w niesamowite oczy, które zmieniały kolor w zależności od nastroju. W tej chwili lśniły bursztynowo. Pocałował ją w szyję. Tam, gdzie skóra była tak jasna, że niemal świeciła. Jedno dotknięcie, i żar w żołądku wybuchnął wielkim płomieniem.

Musnął kciukiem jej dolną wargę i opuścił głowę. Zawahał się, chciał jak najdłużej rozkoszować się oczekiwaniem. Musiał się upewnić, że ten ogień go nie spopieli. Tymczasem w gardle Julii rósł jęk zniecierpliwienia. A potem zacisnęła pięści na jego koszuli i przyciągnęła go do siebie. I to ona go pocałowała.

Jęknął i przycisnął ją do ściany. Cały czas głaskała go po plecach, on nie przestawał jej całować. Oparła nogę na jego udzie. Nagle otworzyły się drzwi do hotelu po lewej stronie. Ze środka wytoczyło się trzech rozwrzeszczanych mężczyzn. Jack jęknął, co Julia potraktowała jako zachętę. Zdołał oderwać jej dłonie od swojej koszuli i uciszyć jej protesty, gdy jeden z pijaków stanął jak wryty.

- Ktoś tu jest? - Spojrzał w ich stronę i zawołał do kumpli: - Hej, tu są jacyś ludzie.

Gdy podeszli bliżej, Jack zasłonił sobą Julię.

- Kogo tam chowasz, stary? Czyjąś żoneczkę?

Jack rozpoznał w nim swojego sąsiada z baru. Kilka sekund wystarczyło, by i on poznał Jacka.

- Patrzcie, patrzcie, przecież to pan Przyjem... Pan Przyjemnia...

Zaklął pod nosem. Jack pokręcił głową. Jego zdaniem nawet na trzeźwo facet nie byłby w stanie wypowiedzieć czterosylabowego słowa.

- Rany... to Julia. Znasz ją przecież, Jeddo. To córka pani burmistrz.

- Co ty tutaj robisz, Julio?

- No, co ty, Bart? Przecież wiadomo.

Jacka ogarnęła wściekłość. Złapał pijanego za koszulę. Bart skoczył Jackowi na plecy. Trzeci pijak rzucił się na Jacka z pięściami.

Nagle Julia stanęła oko w oko przed facetem wymachującym pięściami i zapytała go spokojnie, czy naprawdę zamierza uderzyć córkę pani burmistrz.

Jack, prawie zdrętwiały ze strachu, wrzasnął coś, wyrwał się obu napastnikom i szybko odepchnął Julię. Gdy się odwrócił, nacierała na niego już cała trójka.

- Popamiętacie mnie - mruknął.

Ta cicha groźba okazała się skuteczna. Trzech pijaczków wzięło nogi za pas i zniknęło w ciemnościach. Jack odwrócił się w stronę Julii.

- Próbowałam załatwić sprawę w rozsądny sposób - powiedziała.
- Z pijakami nie da się rozmawiać rozsądnie. Czy mamusia cię tego nie nauczyła?
- A kto mówi, że się nie da?

Wbił w nią ponury wzrok. Po chwili mruknął tylko:

- Chodź. Odprowadzę cię do domu.

Ruszyli. Julia była spięta. Jack przeczesał włosy palcami i powiedział:

- Słuchaj, przepraszam cię. Nie powinienem był wyładowywać gniewu na tobie. To nie była twoja wina.

W ogóle nie powinienem był stawiać cię w sytuacji, gdy musiałaś toczyć rozmowę z pijakami.

- Sama podjęłam decyzję, Jack. Uśmiechnął się drwiąco.
- Chyba nie za dobrą, co?
- Dlaczego? - Uśmiechnęła się do niego. Boże, ależ ona ma uśmiech. W jednej chwili zniknął cały jego gniew. - W gruncie rzeczy świetnie się bawiłam.

- Wyjąwszy końcówkę.

- Och, to mi się też całkiem podobało. W życiu nie byłam świadkiem barowej burdy.

- Ale nie powinnaś znaleźć się w sytuacji...

- Przystaniesz wreszcie brać na siebie całą odpowiedzialność? - Opuściła wzrok, a potem znowu go podniosła. Była nieco speszona. - Chyba powinnam cię przeprosić za to, że tak na ciebie naskoczyłam.

- To było odrobinę... nieoczekiwane.

- No, tak, mnie to też trochę zaskoczyło. Nie spodziewałabym się po sobie czegoś takiego, a już na pewno inni by się tego po mnie nie spodziewali. Nic dziwnego, że tych facetów замуrowało.

- Twoich kolegów z pracy też.

- Skąd taki wniosek?

- Bo się gapili jak sroki w gnat. Najwyraźniej nie spodziewali się ciebie tutaj zobaczyć. I to w towarzystwie kogoś takiego jak ja.

Julia zaśmiała się z ironią.

- Gapili się dlatego, że to ciebie nie spodziewali się zobaczyć z kimś takim, jak ja.

Nocną ciszę rozdarł pisk opon na asfalcie. Jack stanął w takiej pozycji, by znaleźć się między Julią a drogą. Samochód ich wyminął. Julia pokręciła głową.

- Znasz tego typu?

- To Brandon Jeffreys. Wdał się w brata. - Spojrzał na nią. - Parę chwil temu zawarłeś z nim znajomość. To ten kurdupel z niewyparzoną gębą, Bart.

- Kto by pomyślał, że Plenty ma swój własny zastęp chuliganów.

- A myślałaś, że to idealna społeczność?

- Wiele osób tutaj tak właśnie siebie widzi. Przez co pozostali biorą nogi za pas.

Wciąż miała świeżo w pamięci potępiające słowa pani H. Trudno więc było się z nim nie zgodzić. A jednak się nie zgadzała. Jeśli on wiecznie znika, to jak taka pani H. ma go poznać, jak ma się przekonać, że wydorósł? Uśmiechnęła się do tej myśli.

- Zastanawiam się, co nasza idealna społeczność pomyślałaby o twoich manierach dżentelmena?

Parsknął śmiechem. A potem, jakby nie mógł się powstrzymać, zapytał:

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Och, takie tam... Gdy usłyszałeś samochód, stanąłeś między mną a drogą. Pod hotelem próbowałeś mnie zasłonić. Odprowadzanie do domu to też nie jest coś, czego by się po tobie spodziewali członkowie tej idealnej społeczności.

- Na pewno by uznali, że kierują mną ukryte motywy.

- Na przykład takie, jak wtedy, gdy wpraszasz się na kawę, a oboje wiemy, że nie chodzi o kawę?

Celowo zdecydowała się na lekki, zaczepny ton, bo właśnie stanęli przed jej furtką.

Odwróciła się do niego z uśmiechem na twarzy. Jack był poważny. Ciszę przerywało jedynie dudnienie jej serca oraz odległy pisk opon na głównej ulicy.

Jack uniósł głowę, jakby wsłuchiwał się w ten dźwięk; a potem cofnął się o krok. Nie chciała, żeby odszedł, nie pragnęła, żeby ten wieczór się tak zakończył.

- Więc... wejdiesz? Na kawę? Próbowała znowu się uśmiechnąć.

- Nie piję kawy.

- Wiem.

Światło księżycy błysnęło w jego oczach.

- Niedługo wyjeżdżam. Może nawet jutro.

- Wiem - odpowiedziała spokojnie.

Mimo ciepła letniej nocy, przeszył ją dreszcz.

Przecież o to chodziło, prawda? W całym tym nierealnym wieczorze. Przy Jacku O'Sullivanie nie myślała o przyszłości, myślała tylko o chwili obecnej. Zapominała o bezpieczeństwie, spokoju i odpowiedzialności.

Spojrzała na jego spuchnięty policzek.

- Mogłabym cię opatrzeć. Wejdiesz?

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nastawię tylko wodę i zaraz przyniosę wszystko, co potrzebne.

Julia była w połowie drogi do kuchni. Zatrzymała się, wzięła głęboki wdech i odwróciła się do Jacka.

Stał w przedpokoju przy drzwiach wejściowych. Jego sylwetka odcinała się wyraźnie od bladoniebieskich drzwi. Wydawał się tak szeroki w ramionach, że wypełniał całą przestrzeń między pokrytymi tapetą ścianami. Za lewym ramieniem widniał delikatny haczyk z porcelany. Przy nim wydawał się bardzo niesolidny, niezdolny udźwignąć nawet kawałka muślinu, nie wspominając o płaszczu.

Jack patrzył na nią przenikliwie, bez uśmiechu. Przez jej ciało przeszedł dreszcz. W hotelu koło pubu nie miała wątpliwości. Potem, przy furtce, dopadło ją poczucie winy, ale nadal była pewna. A teraz...

A może powinna powiedzieć, że się pomyliła? Poprosić go, żeby sobie poszedł?

Spojrzała na jego lewy policzek, na nabiegły krwią siniak. To nic poważnego, pomyślała. A gdyby oberwał mocniej? Gdyby był porządnie skaleczony? Wszystko przez to, że go zawołała...

- Trzeba coś zrobić z twoim policzkiem - powiedziała, choć prawda była taka, że to bardziej ona chciała za opiekować się Jackiem, niż on rzeczywiście tego potrzebował. - Gdy Josh nauczył się biegać, prawie codziennie zdierał sobie skórę z kolan. Mam maść na skaleczenia. I plastry.

Jego wargi drgnęły.

- To pomaga?

Ta dowcipna uwaga rozluźniła ją. Uśmiechnęła się.

- Nie jestem pewna. Podejrzewam, że tajemnica kryje się w trzecim składniku.

- Czyli?

- W całusie.

Obróciła się na pięcie i odeszła. Uspokój się, powtarzała sobie. Dasz radę. Przecież lubisz gości. Jesteś bardzo gościnna.

- Wejdz dalej! - zawołała przez ramię. - Rozgość się. Wszedł posłusznie, ale z drugiej części zaproszenia nie skorzystał. Stał na środku wzorzystego dywanu. Rozstawił nogi, ręce oparł na biodrach.

- Podam herbatę, jeśli masz ochotę się napić. A może wolisz coś mocniejszego? Choć wybór jest niewielki. Na pewno nie mamy burbona. - Zajrzała do lodówki. - Niech popatrzę...

Jest pół butelki chardonnaya. Zaraz sprawdzę, czy Kree oszczędziła jakieś piwo... Tak, jest ostatnie!

Z szerokim uśmiechem pokazała mu butelkę piwa. Kiwnął głową.

- Niech będzie piwo.

To jej nie zaskoczyło. Nie wyglądał na faceta, który pije chardonnay. Postawiła butelkę na stole oddzielającym kuchnię od salonu. Wydawało się jej, że tak będzie bezpieczniej, niż podchodzić do niego. Mogliby się dotknąć.

Milczenie - jego milczenie - działało jej na nerwy. Podeszła do wieży Kree i włączyła płytę.

Czuła na sobie jego uważne spojrzenie, na co jej organizm reagował palącym uciskiem w żołądku.

- Gdzie się podziewa Kree?

- Jest w Clifton, u Tagga. Zostanie u niego na noc. To się wydawało niemożliwe, ale niewinna uwaga o tym, że Kree pojechała do swojego chłopaka i nie wraca na noc sprawiła, że napięcie w pokoju jeszcze wzrosło. Nieznośnie.

Rzuciła mu wymuszony uśmiech.

- Idę do łazienki. Zaraz wracam.

W łazience chwyciła się krawędzi umywalki i próbowała uspokoić oddech. Trochę pomogło. Z salonu dobiegła muzyka - to ona wybrała płytę, czy też zrobił to Jack? Ciekawe, na co by się zdecydował. Nadstawiła ucha. Przydługa, instrumentalna introdukcja przeszła w bluesa. Miłe. Miała nadzieję, że rzeczywiście mu się taka muzyka podoba.

Kobiecy głos śpiewał coś o tym, żeby „się nie wahać i nie oglądać za siebie”. Julia prychnęła drwiąco. Ona się bez wątplenia nie oglądała za siebie. Kierowana dziwnym, wewnętrznym przymusem zrobienia czegoś nietypowego dla siebie, oraz znajomym pragnieniem zapełnienia ziejącej pustki, rzuciła się od razu na głęboką wodę. Z wysokiej wieży. Nie sprawdziwszy wcześniej dna.

Bez kamizelki ratunkowej.

To pewnie przez tę nową fryzurę. I kosmetyki Kree. To pewnie stąd wzięło się jej przekonanie, że nie utonie. Spojrzała w lustro i zobaczyła, że po makijażu praktycznie nie zostało już śladu, a co do seksownych włosów - nadal otaczały jej twarz i opadały interesująco na ramiona, ale teraz była to tylko zwykła, nowa fryzura, nic więcej.

Westchnęła ciężko i otworzyła szafkę. Wysypało się z niej kilka pudełeczek. Julia pokręciła głową i schyliła się po nie. Jednorazowe golarki Kree, dezodorant Kree, bawełniane

patyczki Kree, pianka do układania włosów Kree - jej współlokatorka nie należała do porządnickich.

Gdy już wszystko zebrała i ustawiła równo na półce, zaczęła szukać tubki maści i opakowania plastrów. Kree zepchnęła je na sam tył, więc Julia najpierw musiała wszystko wyjąć. Już miała zamiar upychać to wszystko z powrotem, gdy nagle zauważyła jakąś paczuszkę przy tylnej ścianie. Było to małe, czarne pudełko, na widok którego zaschło jej w ustach, a puls znowu przyspieszył. Zupełnie o tym zapomniała...

Jej starodawna wanna na nóżkach była dokładnie taka, jak sobie wyobrażał. Julia stała przy umywalce, była boso. Wspięła się na palce, żeby odłożyć coś do szafki. Jej pantofle leżały z boku.

Nie usłyszała go. I dobrze, bo dzięki temu miał szansę popatrzeć na jej długą szyję, na piersi rysujące się wyraźnie pod bluzką, na kawałek brzucha powyżej paska spódnicy.

Musiał wydać z siebie jakiś dźwięk - pewnie jęknął - bo nagle się odwróciła, przestraszona. I zdenerwowana, sądząc po tym, że upuściła pudełko, które trzymała w ręce, a potem strąciła jeszcze kilka innych rzeczy. Pudełko odbiło się od krawędzi umywalki i wylądowało u stóp Jacka.

Oczy zrobiły się jej okrągłe jak spodki, zalała się rumieńcem i zaczęła bełkotać coś o tym, że Kree zawsze upycha swoje rzeczy bez ładu i składu i potem wszystko wypada.

Pewnie to coś kobiecego, pomyślał. Dlatego się tak zaczerwieniła. To było takie milutkie, więc z trudem zachowywał powagę. Schylił się po pudełko i postawił je na krawędzi umywalki. Nie mógł nie zauważyć, że to nie jest nic kobiecego. Tylko jak najbardziej męskiego. A konkretnie - prezerwatywy.

Julia złapała pudełko i szybko je schowała. A potem schyliła się, żeby pozbierać pozostałe rzeczy. Poustawiała je w równych rzędkach.

- To rzeczy Kree - wyjaśniła. Po czym szybko dodała: - Potrzebujesz czegoś? Chciałeś skorzystać z łazienki?

- Przyszedłem sprawdzić, co cię tak długo zatrzymało. I czy jesteś gotowa zabawić się w pielęgniarkę.

Podsunęła mu łazienkowy taboret.

- Usiądziesz?

- Mam usiąść na tym?

Zmierzył stołek podejrzliwie, jakby chciał ocenić, czy wytrzyma jego ciężar.

- To może na wannie?

Wannie też przyjrzał się z niedowierzaniem, ale w końcu usiadł. I wyciągnął przed siebie długie nogi. Julia musiała je okrążyć, żeby sięgnąć po maść. A żeby ją nałożyć, musi stanąć między nimi.

Wzięła głęboki wdech. Jak sobie radzą pielęgniarce? Powinna, na przykład, zagaić niewinną rozmowę.

- I jak ci się podoba wystrój? - zaczęła i rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby odłożyć nakrętkę maści.

- Daj. - Wziął ją od niej i położył sobie na udzie, szerokim, muskularnym, opiętym dzinsami. - Wystrój?

- Nie podoba ci się, prawda?

- Powiedzmy, że ja sam bym wybrał coś innego.

Zerknęła na niego i zobaczyła kpiący błysk w oku. Dobrze, możemy się przekomarzać, pomyślała. To zdecydowanie lepsze niż napięte milczenie.

- Ale do ciebie to pasuje - dodał.

- W jakim sensie?

- Jest ładne. Delikatne. Kobiece.

- Dziś próbowałam zmienić swój wizerunek.

- No, tak. - Uśmiechnął się półgębkiem. - Pewnie ciężko jest być grzeczną dziewczynką.

- Mnie nie musisz tego mówić - zażartowała, a potem wzniosła oczy do góry.

Jack parsknął śmiechem.

Ten jego śmiech jest po prostu zabójczy, pomyślała. Zresztą nie jest to jedyna zabójcza przypadłość. Sama jego bliskość stanowiła zagrożenie. A ona musiała teraz nałożyć mu maść...

Wyobraźnia zaczęła podsuwać jej różne wyuzdane obrazy. We wszystkich smarowała jego nagą, rozgrzaną skórę chłodnym kremem.

Gdy uniosła dłoń do jego twarzy, zadrżała.

Nagle objął ją w pasie.

- Nie potrzebuję tego - powiedział.

- Aha. - Julia nagle zyskała pełną świadomość emanującej z niego siły. Znalazła się w jej zasięgu. Była w jego władzy, jakby znalazła się w granicach jakiegoś niewidocznego pola. Oblizła wargi. - Plastra pewnie też nie potrzebujesz, co?

- Nie. - Pauza była pełna nadziei. - Za to potrzebuję trzeciego, magicznego składnika.

Serce waliło jej jak oszalałe. Nie powinna, nie powinna. ...

- Nie - wydusiła z siebie.
- Tak - obstawał przy swoim.

Przyciągnął ją bliżej i pocałował namiętnie.

Odwzajemniła pocałunek. Bez żadnych wstępów i podchodów. Zaczął obsypywać całusami jej policzek, ucho, szyję. A potem znowu wargi. Położył dłonie na jej biodrach, zsunął je niżej i odszukał krawędź spódniczki.

Szorstkie ręce gładziły jej nagie uda. Przez długą chwilę nie działo się nic więcej. Julia czuła narastający żar, od którego zaczynało jej brakować oddechu. Wygięła się do tyłu, złapała go za ramiona, a gdy dotarł dłońmi jeszcze wyżej, poczuła silny ucisk w żołądku. Wyciągnęła mu koszulę zza paska dżinsów. Wreszcie! Dotknęła jego nagiej skóry.

Aż się jej zakręciło w głowie. Przerwała pocałunek, drżącymi rękami zaczęła rozpinąć jego koszulę. Przytrzymał ją, uspokoił. Znieruchomiała.

W jego oczach płonęła namiętność.

- Nie chcę się spieszyć - powiedział zdławionym głosem. - Chcę cię powoli rozbierać, chcę oglądać każdy centymetr twojego ciała.

Poczuła jego wzrok na swoich piersiach. Rozpiął pierwszy guzik bluzki. Gdy pięć sekund później poddał się drugi, z trudem łapała oddech. Nie mogła się doczekać.

- Nie mógłbyś choć trochę przyspieszyć?

Jack parsknął śmiechem. Wolne tempo również dla niego było trudne do zniesienia. Trzeci guzik ustąpił. Jacka aż zatkało na widok blad różowej koronki. Miał ochotę rzucić się na Julię. A przecież zawsze szczyił się tym, że w łóżku potrafi zachowywać się powściągliwie.

Będzie się zachowywał spokojnie, cierpliwie i z klasą.

Lecz gdy pokonał ostatni guzik i rozsunął jej bluzkę na boki, zupełnie stracił głowę. Wyobrażał ją sobie, marzył o jej ciele, ale mimo to nie był przygotowany na taki widok... ani na swoją reakcję.

Chciał ją mieć, nim się obudzi i przekona, że to tylko sen. Nim zamruga powiekami i stwierdzi, że to pomyłka. Pieścił ją coraz bardziej niecierpliwie. Położyła mu dłonie na ramionach, a potem zsunęła je niżej. Skupiła wzrok na wysokości jego bicepsów i nagle zamarła.

- Masz tatuaż.

W jej głosie nie było zarzutu, lecz miłe zaskoczenie. Jack poczuł, że ucisk w żołądku nieco zelżał. Julia musnęła palcem jego tatuaż w kształcie zygzaka.

- Piorun nigdy nie uderza drągi raz w to samo miejsce, co?

- Mówiłem ci, że niedługo wyjeżdżam.

- Wiem, co mówiłeś. - Nachyliła się i pocałowała tatuaż. - A na dzisiaj noc zostaniesz?

Jej zwykle czysty głos zrobił się nieco chrapliwy. Uśmiechnęła się, a jego coś zakłuło w środku. Słyszał ostrzegawcze bicie dzwonów w głowie, ale nie był w stanie wyrwać się spod uroku jej uśmiechu.

- Pójdziemy do sypialni? - zapytała, wskazując głową.

- Jesteś pewna?

- Tak.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nawet nie zapalili świateł. Jack chciał widzieć Julię tylko w poświęceniu nocnej lampki.

Zsunął jej bluzkę. Niespiesznie całował szyję, ramiona, dekolt. A gdy oboje byli już nadzy od pasa w górę, objął ją mocno i pocałował. Dotykał jej, smakował jej skórę. Rozpiął jej spódnicę i zsunął ją z bioder.

Przykucnął i patrzył. Wyglądała wspaniale. Miała potargane włosy, zarumienioną twarz, a oczy zamglone pożądaniem i jeszcze jakimś innym uczuciem. Opuścił wzrok niżej i zupełnie stracił głowę na widok jej pełnych piersi, które unosiły się gwałtownie w przyspieszonym oddechu.

Pocałował ją. Miał wrażenie, że nigdy się nią nie nasyci.

Jacka obudził promień słońca. Julia leżała obok, ciasno w niego wtulona. Znowu poczuł przyływ podniecenia.

Ileż to razy tej nocy witała go ochoczo i szeptała jego imię?

Za mało! Nie miał jej dość.

Ta spontaniczna odpowiedź go zaalarmowała. Przecież to niemożliwe. Powinien leżeć teraz bez sił. A on myślał tylko o tym, żeby znowu...

Co takiego jest w tej kobiecie?

Starając się jej nie obudzić, odgarnął jej włosy. I poczuł ukłucie w piersi, gdy zobaczył jej twarz, szyję, piersi... I ślady na jej bladej skórze.

A miał zachowywać się jak człowiek cywilizowany!

Potarł dłonią policzki i zaklął w duchu. Znowu postawił sobie to samo pytanie. Lecz tym razem odpowiedział na nie inaczej. Zbyt wiele razy. Zbyt wiele razy, i to bez hamulców. Postawił nogi na podłodze. Złapał dzinsy, koszulę, skarpetki i buty. Był już w połowie ubrany, gdy znieruchomiał.

Co on wyprawia?

Wbił wzrok w zmiętą koszulę. Na wysokości piersi, tam, gdzie Julia złapała go pokrytymi maścią dłońmi, były tłuste plamy. Powinien teraz wetrzeć tę maść w jej posiniaczoną skórę. Powinien ją obudzić, a nie wymykać się bez pożegnania jak... jak łajdak, za jakiego uchodził w tym mieście.

A gdyby tak ją zaskoczyć - może filiżanką herbaty, której wczoraj odmówił?

Podjąwszy decyzję, ruszył do kuchni. Zajrzał do lodówki. Kiepska sprawa! Chyba będzie trzeba skoczyć do sklepu na rogu.

Pokręcił głową z dezaprobatą. Żadnych jajek, bekonu, chleba. A zamiast mleka tylko ta cienka, rozwodniona lura, którą piją kobiety, bo uważają, że dobrze im robi. Choć musiał przyznać, że Julii jakoś to nie zaszkodziło. Jej kształty były dokładnie takie, jakie być powinny - pełne, bujne, zachęcające, zdolne doprowadzić mężczyznę na krawędź szaleństwa, a potem poza nią.

Nagle usłyszał dźwięk silnika. Wszedł na werandę. Samochód zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Trzasnęły drzwi. Kree. Trzy szybkie kroki i... zobaczyła go.

- Jack! Co ty tutaj robisz?

Przenikliwie, błękitne oczy od razu zauważyły niezapiętą koszulę oraz potargane włosy. Kree podniosła wzrok na okno sypialni Julii. Torba wypadła jej z ręki i gruchnęła na ziemię. Kree ruszyła w jego stronę. Uderzyła go w ramię z siłą dziesięciokrotnie większą niż pijaczek zeszłego wieczora.

- Do diabła, co ty wyprawiasz? - warknęła.

Nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie. Czy jest zła, bo się tutaj znalazł, czy też dlatego, że wychodził? Na wszelki wypadek wybrał milczenie. Liczył na jej współczucie. Teatralnie rozmasował mięśnie tam, gdzie od niej oberwał.

Przyglądała mu się bez skruchy. Zauważyła siniaka na policzku.

- Mam nadzieję, że to Julia cię tak załatwiła. Uniósł dłoń i dotknął bolącego miejsca.

- Bo...?

- Jeszcze pytasz?

Nie miał pojęcia, o co siostrze chodzi, ale najwyraźniej była nie w sosie.

- To nie twoja sprawa, ale Julia zaprosiła mnie na noc nie po to, żeby się ze mną boksować.

- Julia zaprosiła cię na noc? A ty nie widziałeś w tym nic niestosownego?

Jack zignorował ukłucie niepokoju.

- Nie.

- To pozwól, że ci coś wyjaśnię. Julia nie zaprasza mężczyzn do domu. Nie miewa przelotnych romansów. Na litość boską, ona szuka męża, a nie dobrej zabawy!

- Lion nie jest najlepszym terenem do prowadzenia takich poszukiwań.

- Poszła do Liona? Rany, poszła zapolować na żabę.

- Kree zamknęła oczy, po czym mruknęła pod nosem.

- Co?

- To taki nasz żart.

Jacka ogarnęły złe przeczucia. Wiedział, że go nie opuszczą, nim dowie się, co się tutaj dzieje. Złapał Kree za ramię i spojrzał jej prosto w oczy.

- Dlaczego poszła do Liona?

- Chwilowa niepoczytalność? Jack wzmocnił uścisk.

- Tylko żartowałam. Częściowo. - Westchnęła ciężko.

- Chyba czuła się... Sama nie wiem... Potrzebowała potwierdzenia swojej kobiecości.

- To głupie! O co w tym wszystkim chodzi, Kree?

- Chyba powinieneś spytać o to Julię.

- Ale pytam ciebie.

- Posłuchaj, właśnie się dowiedziała, że jej eks będzie miał dziecko. To ją trochę ruszyło.

Jej eks? Były mąż! Coś mu mówiło, że to kiepski pomysł, ale mimo to zapytał:

- Nadal go kocha?

- Nie. Ulżyło mu.

- To czemu tak się przejęła?

- Oj, będę tego żałowała - mruknęła Kree. -I kogo ja chcę oszukać? Już żałuję, że się wdałam w tę rozmowę. Ale i tak nie popuścisz, zanim się wszystkiego dowiesz, prawda?

- Zgadza się.

- Tak myślałam. - Wzięła głęboki wdech, Jack poluznił uścisk, a potem przesunął dłonią po jej ramieniu, kojąco i zachęcająco. - Ona kiedyś kochała Paula. Kochała go na tyle, by chcieć mieć z nim dziecko. Ale on postanowił czekać, choć prawie złamał jej tym serce. A teraz ożenił się po raz drugi i jego nowa żona od razu zaszła w ciążę.

A on, idiota, uwierzył, że Julia go pragnęła. Niczego się nie nauczył z historii z Claire Heaslip? Próbował usunąć ze swego głosu pełną goryczy nutę, lecz to było trudne.

- Powinna się cieszyć, że nie zaszła w ciążę, bo teraz byłaby sama z dzieckiem na głowie.

- Julia byłaby idealną matką.

- No, tak, ale skoro nie ma dziecka, to może byśmy porzucili ten temat?

Siostra przyjrzała mu się przenikliwie.

- Zabezpieczyliście się?

Jack zakołysał się na piętach. Niewiarygodne, że go o to zapytała. I nagle się zarumienił na wspomnienie jednej chwili nieuwagi przed świtem.

- To nie twoja sprawa - powiedział.

- Masz rację, Jack. Przepraszam.

- Mnie też jest przykro.

Pożałował tych słów, gdy tylko padły, ale było już za późno, żeby je cofnąć. Zrozumienie złagodziło minę siostry.

- Och, Jack! Coś ty narobił?

Co narobił? Obrzydzenie do samego siebie sprawiło, że jego odpowiedź była bardziej szorstka, niż chciał:

- Dałem się przelecieć. Ostatnio zbyt rzadko to robiłem.

Kree była wstrząśnięta. Trudno. Sama zaczęła.

- A czego się spodziewałaś? Że się zako...

- Wystarczy, Jack.

Kree przerwała mu gwałtownie. Patrzyła w jakiś punkt za jego plecami. Jack poczuł nieprzyjemne mrowienie na karku. A niech to!

Julia już zniknęła z powrotem za drzwiami. Miała ochotę schować się w sypialni i umrzeć. Ale on się odwrócił, spojrzał na nią. Duma kazała jej podnieść głowę wysoko. Uśmiechnęła się z trudem.

- Przepraszam, że przeszkodziłam - powiedziała i wyszła na werandę. Spojrzała na Kree. - Usłyszałam głosy i byłam ciekawa, kto to. Myślałam, że prosto od Tagga pójdziesz do pracy.

- Pokłóciliśmy się i postanowiłam zjeść śniadanie sama. - Kree wzruszyła ramionami, jak gdyby nigdy nic. Jej związki zawsze były burzliwe. - A skoro o tym mowa, umieram z głodu. Ktoś się przyłączy?

Jej zatroskany wzrok spoczął na przyjaciółce. Kryło się w nim pytanie, którego nie śmiała zadać: „Wszystko dobrze?”. Julia mogła tylko mieć nadzieję, że jej uśmiech wygląda przekonująco.

- Chętnie napiłabym się herbaty.

- A ty, Jack?

- Innym razem. Muszę iść do pracy.

- W sobotę o siódmej rano?

- Owszem.

Julia zaryzykowała i zerknęła na niego. Spotkała się z tak beznamietną reakcją, że przeszył ją chłód. Przejmujący, do szpiku kości. Odwróciła się na pięcie i weszła do domu, gdyby nie położył jej dłoni na ramieniu.

- Mogę zamienić z tobą słowo?

- Pożegnania? - zapytała cynicznie.

Zerknął znacząco na Kree, która mruknęła coś niezrozumiałego i weszła do domu. Julia zamknęła oczy. Nerwy miała napięte jak postronki. Otoczyła się ramionami.

- Zimno ci?
- Może trochę.
- Chcesz stanąć gdzieś na słońcu?
- Czemu nie?

Przeszli na odległy kraniec werandy, gdzie poranne słońce przedzierało się przez listowie. Julia wystawiła twarz na promienie. Poczowała ciepły dotyk na powiekach. Czekwała, aż ciepło przeniknie do środka. Bez skutku. Czuła tylko ciężar przedłużającego się milczenia. W końcu nie mogła tego znieść i zapytała:

- O czym chciałeś rozmawiać?
- Po co przyszedłeś wczoraj do Liona?

Wsunęła ręce do kieszeni szlafroka. Wzruszyła ramionami, udając obojętność.

- Miałam ochotę.
- Daj spokój, Julio. Nigdy wcześniej tam nie byłaś.

Znowu mówił tym tonem, który podsłuchiwała z przedpokoju. Przypomniała sobie, co wtedy mówił. Nie mogła zapomnieć o tych słowach. „Dałem się przelecieć. Ostatnio zbyt rzadko to robiłem.”

Uśmiechnęła się niewesoło. ..

- Być może szukałam tego samego co ty?
- Kree mówi, że szukasz męża. To raczej nie to samo. Małżeństwo nie leży w moich planach.

Julia zalała się rumieńcem.

- Nie proszę cię, żebyś się ze mną ożenił. Nie tego od ciebie chciałam.
- A czego? Dziecka, o którym marzysz? Julia przyłożyła sobie dłoń do skroni.
- Nie mogę uwierzyć, że Kree ci to powiedziała.
- Zmusiłem ją. Wiem od niej, że przygłębowała cię wiadomość o tym, że twój eks będzie miał dziecko.

- I myślisz, że poszłam z tobą do łóżka, żeby zająć w ciąży?
- Tak, uważam, że poderwałaś mnie z premedytacją. A teraz chciałbym ustalić powód.

- Na pewno dlatego, że byłam taka przygnębiona! Wypuścił z sykiem powietrze i odwrócił się do niej tyłem. Podeszła bliżej, podniosła dłoń i już, już dotknęła jego pleców. Prawie powiedziała mu... Że poszła z nim do łóżka, bo nie mogła się mu oprzeć. Ze

doświadczyła czegoś niesamowitego, czegoś wielkiego i wspaniałego. Ze obudziła się rano z poczuciem, iż jej życie uległo zmianie.

Odwrócił się nagle i spojrzał na nią tak ostro, że jej dłoń natychmiast opadła.

- Dlaczego ja, Julio? Czy wyglądam na faceta, którego można wykorzystać?

Za jego ostrym tonem, za rumieńcem gniewu na policzkach, za twardym spojrzeniem krył się ból. Wyczuwała to. Wiedziała, że musi mu wyjaśnić, jak to było naprawdę.

- Nie wykorzystałam cię, Jack - powiedziała spokojnie. - Przyszłam do Liona, bo wpadłeś mi w oko.

- Chciałaś iść ze mną do łóżka.

Jak ma mu wyjaśnić, że chodziło o coś więcej? Nie dał jej szansy. Nim zdążyła się odezwać, powiedział z goryczą:

- Zdaje się, że każde z nas dostało to, czego chciało! Po czym odwrócił się i odszedł.

Julia nie zamierzała tego tak zostawić, ale musiała najpierw ochłonąć i zebrać myśli. Miała wrażenie, że jej poranna zmiana w sklepie nigdy się nie skończy. Gdy w końcu przyszła do warsztatu Billa, był zamknięty. Chłopak przy dystrybutorze paliwa nie widział Jacka.

- Ale ja przyszedłem dopiero o jedenastej. Może Bill coś wie.

Julia poszła ścieżką koło warsztatu i zapukała do drzwi mieszkania Billa. Odczekała kilka sekund, po czym zastukała jeszcze raz, głośniejsze.

- Spokojnie, spokojnie. Przecież słyszę. Nie ma powodu... - Bill przestał zrzędzić, gdy otworzył drzwi i zobaczył ją w progu. - Julia.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Grant powiedział, że cię tu znajdę.

- Coś z samochodem?

- Nie. Chciałam porozmawiać z tobą o czymś innym. Mogę?

- Pewnie. Zapraszam. - Wpuścił ją do środka. - Napijesz się kawy? A może wolisz coś zimnego?

- Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba. Weszła za nim do mikroskopijnego salonu.

- Usiądź.

Bill zgarnął naręcze gazet ze starej kanapy. Usiadła. Odsunęła się na bok, żeby uniknąć wystającej sprężyny.

- To o czym chciałaś porozmawiać? Tyczkowaty Bill opadł na fotel.

- Szukam Jacka. Pewnie wiesz, gdzie go można znaleźć.

Bill zerknął na zegar ścienny.

- Sądząc po jego technice jazdy, jest już pewnie ze dwieście kilometrów stąd.

- Wyjechał?'

- Zgadza się. Zadzwoił z drogi, żeby mi o tym powiedzieć.

- To dość nagle.

- Taki właśnie jest Jack - przyznał z niezadowoleniem Bill. - Nagły.

Musiała się z nim zgodzić. Zjawił się nagle i postawił jej świat na głowie. A potem nagle zniknął bez wyjaśnienia. Owszem, ostrzegął ją. Dwa razy mówił, że wyjedzie. Ale ona po prostu nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

- To chyba moja wina. Nauczyłem go wszystkiego, co wiem. Zrobiłem z niego świetnego mechanika. Prawie tak dobrego jak ja - dodał. - Ma mnóstwo pracy.

- Dlatego wyjechał? Z powodu pracy?

- Ma zastąpić jakiegoś kolegę.

- Aha.

Nagle Julia straciła wszelką nadzieję. Jack nie wyjechał, bo zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Zaplanował to. Na pewno wiedział rano, że dziś opuści Plenty. I nawet się nie pożegnał.

- Nie mogę powiedzieć, że nie będzie mi go brak.

- Może powinieneś zaproponować mu pracę - zasugerowała.

- Myślisz, że nie próbowałem? On nie chce się nawet nad tym zastanowić. Ma za dużo złych wspomnień związanych z tym miastem.

- Z powodu kłopotów, w jakie się tu wpakował?

- Których konkretnie? - Bill pokręcił głową. - Jeśli chodzi ci o wandalizm, to z tym skończył, jak tylko zaczął u mnie pracować. Zapłacił za zniszczenia. Ale ta sprawa z... jak jej tam? Tą dziewczyną Heaslipów, tych, co wzniesli tę różową stertę cegieł na wzgórzu...

- Claire.

Bill podrapał się po torsie.

- Claire, mówisz? Niezłe z niej ziółko.

Wieść niosła, że napuściła Jacka na studenta prawa. Podczas niesławnej kłótni Jack rzekomo pobił studenta oraz ojca Claire, radnego. Julia przypuszczała jednak, że ta historia była ubarwiona.

Miała świadomość, że Bill się jej dziwnie przygląda, że zaczynają mu przychodzić do głowy pewne pytania, więc zerwała się z kanapy.

- Lepiej już pójdę. Dzięki za pogawędkę.

- Szkoda, że nie mogłem ci pomóc - powiedział Bill, odprowadzając ją do drzwi.

Pożegnała go i pobiegła ścieżką. Nie zwolniła, aż dobiegła do domu. Wzięła McCoya na smycz i w rekordowym czasie pokonała pięciokilometrowy odcinek drogi nad rzekę. Tam zmusiła się do tego, żeby usiąść, odetchnąć głęboko i spróbować zastanowić się nad przepełniającym ją rozczarowaniem.

To zupełnie irracjonalne. Nie powinna czuć zawodu. Zaprosiła Jacka do domu, wiedząc, że on wkrótce wyjedzie; niczego innego nie mogła się spodziewać. A teraz zniknął z miasta, zniknął z jej życia. To był wspaniały epizod, niezapomniane doświadczenie i powinna być mu... wdzięczna.

Owszem, wdzięczna...

Bo skupił całą swoją uwagę na niej, kochał się z nią tak, jakby była centrum jego świata, zależało mu tylko na jednym - na daniu jej przyjemności. Dzięki temu poznała rzeczy, których nigdy dotąd nie doświadczyła.

Zawsze żyła tak, by zadowolić innych. Rodziców, Paula, Chantal. Naginała się do ich woli, ich życzeń, bo tak było łatwiej, niż bronić własnego zdania. Cóż, ostatniej nocy poszła za swoim pragnieniem. Jeśli mogła zrobić to raz, to czemu nie częściej? Tylko że następnym razem obierze sobie za cel coś mniej ulotnego, coś z sensem i przyszłością.

Po rozwodzie marzyła o tym, by otworzyć własną firmę - jakiś domowy zakład albo żłobek. A może nawet wejść w branżę projektowania ogrodów. Lecz pozostało to w sferze marzeń, bo nigdy nie starczyło jej konsekwencji, by wcielić to w życie.

Dlaczego nie teraz? Czemu przynajmniej nie spróbować?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Julia zrzuciła buty i oparła się plecami o drzwi wejściowe, które właśnie za sobą zamknęła. Mimo to osunęła się na podłogę. Miała wrażenie, że już się nigdy nie podniesie - tak było jej ciężko. O pierwsze mogła obwiniać Chantal i jej wielkanocny obiad. Drugie stało się ostatnio normą. Powoli uczyła się z tym żyć.

Ostatnio czuła się wiecznie zmęczona. Nie mogła spać i pracowała jak szalona. Dodatkowe zmiany, zwłaszcza w weekendy, znacząco podwyższyły jej pensję. Oszczędności na przyszłą firmę już się podwoiły. Właściwie nie miała nic przeciwko pracy do późna. Kree zostawiła zakład fryzjerski na głowie swojej pomocnicy, a sama pojechała do południowo-wschodniej Azji, więc w domu było zbyt cicho i pusto.

Poza tym praca oraz zmęczenie pozwalało jej wymigać się łatwo od randek aranżowanych przez Chantal. Julia wciąż nie powiedziała siostrze, by ta dała jej spokój. Dużo łatwiej było poddawać się, niż przeciwstawiać.

Na razie. Bo być może tamtej gorącej, piątkowej nocy zmieniło się całe jej życie.

Położyła dłoń na brzuchu. Nie zdołała stłumić ogarniającego ją rozradowania. Nie cieszyć się jeszcze, powtarzała sobie. Jeszcze za wcześnie. Stres zawsze wpływał na jej cykl. A poza tym nie miała nudności ani zawrotów głowy. Tylko to zmęczenie. Oraz podszepty intuicji.

Jutro pojedzie do Clifton i kupi test ciążowy. Wieczorem będzie już wiedziała.

Wstała z podłogi i poszła do kuchni. Gdy przechodziła przez salon, zerknęła z przyzwyczajenia na automatyczną sekretarkę. Światelko mrugało. Serce stanęło jej w pierśsiach.

W ciągu ostatnich siedmiu tygodni, jej serce reagowało w ten sposób na każdą wiadomość na sekretarce. A potem się okazywało, że to Chantal, Mitch albo rodzice.

- Kimkolwiek jesteś, możesz poczekać - mruknęła, po czym poszła do kuchni.

Zagotowała wodę i zaparzyła rumiankową herbatę.

Lecz to piekielne światelko nie dawało jej spokoju. Popatrz na mnie, wołało, mrugając. Wysłuchaj mnie. Wcisnęła guzik.

Na dźwięk chrapliwego głosu przeszył ją dreszcz. Gorąca herbata przelała się przez krawędź kubka. Zakłęła i pobiegła do kuchni. Wsadziła rękę pod zimną wodę.

Mimo to usłyszała dokładnie każdego jego słowo.

- Kree, po co ci komórka, skoro jest wiecznie wyłączona? Oddzwoń do mnie. To pilne.

Przesłuchała wiadomość dwa razy, żeby się upewnić, czy dobrze zapisała numer Jacka. Potem przewinęła ją jeszcze raz, by wsłuchać się w jego głos. Robił wrażenie spiętego. Nie dlatego, że nie mógł się skontaktować z Kree, lecz z jakiegoś innego powodu.

Zmartwienie, niepokój, żal?

Wbiła wzrok w ciąg cyfr zapisany starannie na kartce papieru. Miała nieregularny puls. Czy on wie, że Kree wyjechała? Nie zdziwiłaby się, gdyby nie wiedział. Często nie mieli kontaktu przez parę miesięcy. Nie potrafiła zrozumieć, jak sobie z tym radzą.

„Oddzwon do mnie. To pilne”.

Julia zerknęła na kuchenny zegar, oblizała wargi i sięgnęła po słuchawkę.

- Poproszę mamę.

Julia sprawdziła jeszcze raz numer, choć dobrze wiedziała, że wybrała go bezbłędnie, guzik po guziku, drżącymi dłońmi. Więc czemu odebrało dziecko? Bardzo małe dziecko. Które teraz chyba wrywało sobie słuchawkę z kimś imieniem Krissie.

A potem usłyszała głos kobiety:

- Kto to, Jay?

- Jakaś pani.

Siedem sekund - policzyła to - i poczuła ołowiany ciężar w żołądku. Kobieta. Małe dzieci. Pod numerem, który zostawił Jack. Nie wyciągaj pochopnych wniosków...

- Halo?

Julia zacisnęła spoconą dłoń na słuchawce.

- Dzień dobry. Szukam Jacka O'Sullivan.

- Jacka? Nie ma go teraz, ale... Krissie, odłóż to w tej chwili! Może coś przekazać?

- Owszem. Odpowiadam na jego telefon do siostry. Julia odczekała chwilę, aż kobieta powtórzy ostrzeżenie Krissie, tym razem ostrzej.

- Przepraszam. Ma pani dzieci?

- Jeszcze nie.

- I radzę tego nie zmieniać. - Zachichotała z rozdrażnieniem. - Siostra Jacka... To musi być Kree, tak?

- Zgadza się. Jack zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce.

- Powiedział o wypadku? - Kobieta musiała wyczuć popłoch Julii, bo nagle jej ton złagodniał. - Spokojnie, skarbie, nie ma się czym denerwować. Pamiętasz, jak stłukł sobie w szkole średniej kolano? Tym razem załatwił je porządnie.

- Jak...? - Tylko tyle zdołała wydusić z siebie Julia.

- Zdejmował Jaya z wielkiego drzewa na tyłach. Mówię ci, ten chłopak jest jak górską kozica. Wspina się na wszystko. No więc Jack wszedł za nim na drzewo i złamała się pod nim gałąź.

- Złamał nogę?

- Nie, nie kość. Zerwał więzadła czy coś w tym rodzaju. Operacja się udała, więc możesz odetchnąć głęboko i się uspokoić. Nic mu nie jest. Naprawdę.

- Ale wiadomość... - Julia nie była w stanie się uspokoić. - Powiedział, że to coś pilnego.

- Teraz nie może pracować w warsztacie Gava, bo chodzi o kulach. Dlatego pomyślał, że powinien się wynieść. Rany, przecież on mi naprawdę pomaga przy tych demonach, gdy zajmuję się niemowlakiem. Ale nie musi robić cokolwiek, by być tu mile widzianym. W końcu to najlepszy kumpel Gava. Wszyscy go uwielbiamy. Ale sama wiesz, jaki on jest, gdy się uprze... Jay, proszę to natychmiast odłożyć. Ale już!

Julia uniosła dłoń do czoła. Ta kobieta gadała jak najęta. Ledwie za nią nadążała. Trójka dzieci, w tym niemowlę. A Gav to pewnie... jej mąż? Przyjaciel Jacka, który ma warsztat. Może to właśnie jego miał zastąpić, gdy wyjeżdżał z Plenty. Może Gav poszedł na urlop ojcowski? To miało sens.

- Przepraszam cię. Na czym stanęłyśmy?

- Może się zatrzymać u mnie, przyjadę po niego.

- Jak chcesz, skarbie, ale on może mieszkać u nas tak długo, jak tylko zechce. Nie, Jay!

- Jesteś bardzo zajęta. Podasz mi adres?

- Trafisz do nas bez trudu. Masz coś do pisania?

Trafiła bez trudu. Zatrzymała się przy drodze kilkaset metrów przed celem. Wypuściła z płuc urywany oddech. Po czterech godzinach za kierownicą musiała rozprostować kości. Oczywiście źródłem największego napięcia była nie jazda, lecz nerwy.

Poprzedniego wieczora, po odłożeniu słuchawki, uświadomiła sobie, że nie przedstawiła się znajomej Jacka. Powtórzyła w głowie całą rozmowę i utwierdziła się w przekonaniu, że rozmówczyni wzięła ją za Kree.

W tym małym domku z cegły Jack czeka teraz na siostrę. Jak zareaguje, gdy zjawi się Julia? Nie wiedziała, czego się może spodziewać. I jak ma poradzić sobie z niezręczną sytuacją?

Zastanawiała się nad tym tysiąc razy. Brat jej najlepszej przyjaciółki potrzebował pomocy. Kree zrobiłaby dla niej to samo, gdyby pomocy potrzebował Mitch.

Ich krótka przygoda to sprawa bez znaczenia.

Zignorowała szalone łomotanie serca, wyprostowała się i powiedziała w duchu:

- No, dobrze, Julio. Nie możesz tu tkwić. Do dzieła!

Jack siedział na werandzie domu Gava i Lisy i patrzył na nieruchomy samochód. Jego irytacja rosła. Silnik jej zgasł? Zalała go, jak zawsze? Nie rozpoznawał samochodu. To nie była jej mała mazda, lecz duży sedan. Może dlatego musiała się zatrzymać. Współpraca Kree z samochodami układała się kiepsko. I to w przypadku samochodów, które znała.

A jednak miło, że pomyślała o tym, by pożyczyć coś większego i wygodniejszego niż jej pudełko od zapalek na kółkach. Pokuśtykał na krawędź werandy i wbił wzrok w krzywe schodki, gdy skrzypnęły drzwi za jego plecami.

- Nie stój tak. Odpocznij sobie. - Gav podsunął mu krzesło.

- Będę siedział przez resztę dnia.

- Zgadza się. - Gav zmierzył Jacka uważnym spojrzeniem. - To twoja siostra?

- A spodziewasz się kogoś innego?

- Nie.

W końcu sedan ruszył z miejsca. Jacka ogarnęły złe przeczucia.

- Nie znam nikogo, kto jeździ mercem - mruknął Gav. - A ty?

- Boli cię? - Jack miał zamknięte oczy i zaciśnięte zęby. Nie pofatygował się odpowiedzieć. - Czy mam jechać wolniej? A może zatrzymam się i trochę odpoczniesz?

Gdy zdjęła nogę z gazu, zareagował natychmiast. Stanowczo.

- Nie. Nie zatrzymuj się. Jedź dalej.

Im szybciej, tym lepiej. Niech to się już skończy.

Trzy godziny. Jeszcze trzy cholerne godziny pytań i ukradkowych spojrzeń. Udawanie snu nic nie pomogło. Za każdym razem, gdy zerknęła na niego współczująco, wyczuwał to każdym nerwem. Miał ochotę otworzyć drzwi i wyskoczyć. I nieważne, co by się stało z jego kolanem.

Ta podróż od samego początku była istną torturą. Od chwili, gdy wysunęła te swoje długie nogi z mercedesa i ich spojrzenia się spotkały. Nie przywitani się, nie uśmiechnęli do siebie na dzień dobry.

Przetrzywał jakoś powitania, wyjaśnienia i zaproszenia.

- Zjedz z nami lunch, nie możesz od razu jechać z powrotem.

Cały czas szukał jakiegoś innego rozwiązania. Nic nie wymyślił. Tylko z nią mógł się jakoś wydostać z domu Gava i Lisy.

Ale na pewno nie chciał czuć się zobowiązany wobec Julii Goodwin. Zgodził się pojechać do Plenty, do Billa. Zgodził się, ale to wcale nie oznaczało, że mu się to podoba. Właściwie z każdym kilometrem miał coraz więcej powodów, dla których mu się to nie podobało.

Na przykład jej motywacja. Po co po niego przyjechała?

- Kree jest moją przyjaciółką. To drobiazg - powiedziała Julia do Lisy z męczeńskim uśmiechem.

Jack po prostu uwielbiał być traktowany jak obiekt misji miłosierdzia. Nie znosił tego niemal tak samo mocno, jak ubezwłasnowolnienia. A jeszcze bardziej nienawidził litości.

To znowu przywołało wspomnienia z pierwszych miesięcy w Plenty, gdy wszyscy ci dobrzy ludzie pragnęli okazać swoje miłosierdzie „tym biednym małym O'Sullivanom”. I proszę, minęło dwadzieścia lat, a on znowu wraca w to cholerne miejsce i musi przyjąć pomoc, bo nie ma wyboru.

Ale dlaczego to musi być akurat Julia?

Zduślił jęk, potarł dłonią szczękę. Zerknęła na niego. Znowu.

- Chcesz wziąć środek przeciwbólowy? Mam wodę w...

- Nie.

- Lisa mówiła, że...

- Powiedziałem „nie”.

Wbił w nią ciężki wzrok. Przez zasłonę tępego bólu oraz irytacji zauważył, że była wymizerowana. Bledsza, niż zapamiętał, z podkrążonymi oczami, ze smutnym spojrzeniem. Szybko odwróciła głowę.

A niech to!

- Przepraszam. Nie chciałem tak na ciebie warknąć - powiedział.

- Nie ma sprawy. Pewnie czujesz każdy wybój na drodze.

- Nie przy takim zawieszeniu.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie cieszę się, że wzięłam tego potwora. Nie znoszę nim jeździć, ale pomyślałam, że będzie wygodniejszy, ma większe fotele i więcej miejsca na nogi.

Spojrzała na jego nogi, a jemu zrobiło się gorąco. Zaciśnął powieki. Próbował myśleć o bólu, o pogardzie do jej litości, o ewentualnych powodach jej zmęczenia. O czymkolwiek, co odwróciłoby jego uwagę od cielesnej reakcji na jej obecność.

W tym aspekcie nic się przez te siedem tygodni nie zmieniło. Nic a nic!

Dwie godziny i pięćdziesiąt sześć minut później wjechali do Plenty.

- Podrzuc mnie do Billa - powiedział krótko.

- Już ci mówiłam, że pokój Kree jest wolny. Na pewno by chciała, byś tam zamieszkał.

- Nie chciałem się kłócić przy Gavie i Lisie. Zatrzymam się u Billa.

- I będziesz spał z chorą nogą na kanapie? - Tym razem w jej spojrzeniu nie było śladu współczucia, jedynie gniew. - A może masz zamiar wyrzucić Billa z jego łóżka?

- Kupię jakieś łóżko.

- I gdzie je wstawisz? Oboje wiemy, że u Billa nie ma miejsca nawet na rozkładaną kanapę.

Jack zaciśnął zęby.

- W takim razie wynajmę pokój w Lionie.

- A schody?

- U ciebie też są schody.

- Nie przy tylnym wejściu - odparła łagodnie.

- Więc zamelduję się w nowym motelu.

- Możesz spróbować, ale wiem, że w ten weekend wszystkie miejsca zajęte.

Zatrzymała się przy krawężniku i wyłączyła silnik. Ulica była opustoszała. W samochodzie zapadła cisza. Jeśli Jack nie mógł wytrzymać z nią kilka godzin w aucie, to jak ma mieszkać pod tym samym dachem? Myć się w tej łazience, w której pierwszy raz jej dotknął...

- Rozumiem, o czym myślisz...

- Wątpię.

- Ale to nie musi być niezręczna sytuacja - dokończyła, jakby w ogóle go nie usłyszała. Jej spokojny, wyważony ton zaczynał działać mu na nerwy. - Już przygotowałam ci pokój i kupiłam zapas jedzenia. Idę jutro do pracy na ósmą. Mam teraz dodatkowe zmiany, więc rzadko będę w domu.

- Czemu?

Zamrugła powiekami.

- Zdawało mi się, że właśnie wyjaśniłam. Prawie codziennie pracuję do późna.
 - Czemu tyle pracujesz?
 - A po co się pracuje? - Wzruszyła ramionami.
 - Kree zostawiła cię na lodzie?
 - Och, nie, zapłaciła z góry. Nie dlatego potrzebuję pieniędzy. Oszczędzam na coś.
- Westchnął ciężko. To nie jest kapitulacja, powiedział sobie. Po prostu nie ma innego

wyjścia:

- Dobrze, zamieszkać w pokoju Kree, ale tylko pod pewnymi warunkami.
- Jakimi?
- Sam będę się sobą zajmował. Zapłacę za mieszkanie. I zbuduję ci ten cholerny płot.

Stropiła się.

- Jaki płot?
- Dla McCoya, żeby nie uciekał.

Pokręciła głową. Prychnęła pełnym niedowierzania śmiechem. Jack był nieugięty.

- Zgadzasz się?
- A jeśli się nie zgodzę?
- To zbieram swoje manatki i kuśtykam do Billa. Uśmiechnęła się półgębkiem.
- A jeśli Bill cię nie wpuści?
- Wpuści, wpuści! Odda mi łóżko, a sam przeniesie się do Liona.

Poczuł przyływ energii. Wiedział, że wygrał. Przyjemne ukłucie satysfakcji.

- Dobrze - wycedziła wolno. - Będziesz się sam sobą zajmował i możesz się dorzucić do czynszu. Ale nie ma mowy, żebyś budował ogrodzenie. Nie z tym kolaniem.

- Nie? - uśmiechnął się Jack i odpiął pas. - To popatrz.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Julia pozwoliła mu wierzyć, że się poddała, bo był to jedyny sposób, by opuścić samochód i wszedł do domu. Miał głębokie bruzdy bólu koło ust. Był chorobliwie blady. Wiedziała jednak, że jest dość uparty, by zebrać swoje manatki i iść do Billa. A przynajmniej tak daleko, jakby zdołał, nim zemdlełby z bólu.

Doskonale rozumiała, dlaczego zależało mu na zawarciu układu. Duma nie pozwalała mu przyjąć pomocy bezwarunkowo. Lecz przez to wcale nie było jej łatwiej zgodzić się na jego trzy warunki. Bo po pierwsze: jak będzie się sam sobą zajmował w obecnym stanie? Po drugie: Kree już zapłaciła za pokój. I po trzecie: to jest jej ogród, jej płot i jej sprawa.

Przez następne cztery dni próbowała znaleźć sposób wykręcenia się z tej umowy. Przynajmniej miała czym zająć myśli i nie myślała tylko o ciąży. Postanowiła poczekać z testem do weekendu, gdy będzie miała czas na wyprawę do Clifton. Do tego czasu Jack już się trochę zadomowi i przyzwyczai do nowego miejsca oraz jej towarzystwa. Być może do weekendu zaczną nawet ze sobą rozmawiać.

Co wieczór, wracając do domu, bała się tego, co może zastać w ogrodzie. Jacka z łopata. Jacka pod stertą elementów ogrodzenia. Jacka w szpitalu z powodu jakiegoś nieodwracalnego uszkodzenia kolana.

Lecz zawsze zastawała go w kuchni albo przed telewizorem, gdy tymczasem coś bulgotało smakowicie na kuchence. Z dnia na dzień czuł się coraz lepiej.

W piątek wieczorem po kolacji zapytał ją, o jakim płocie myślała. Próbowała się wymigać od odpowiedzi. Zaciśnął zęby i nic nie powiedział. Trzeba coś zrobić w tej sprawie, bo inaczej on naprawdę spełni obietnicę.

Późno wieczorem do Julii zadzwonił Mitch. Zapytał o McCoya.

- McCoy ma się świetnie, ale chciałam cię o coś prosić.
- Co? Czyżby moja samodzielna siostra potrzebowała pomocy?

Drwina brata ją rozbawiła. Mitch zawsze potrafił wprawić ją w dobry humor.

- Mam mały problem z psem. Ucieka mi z ogrodu. Chcę zbudować nowe ogrodzenie, ale mam założoną lokatę, więc wołałabym...

- Ile? Dwa wystarczą? Julia się skrzywiła.
- Liczyłam na trochę więcej.

- Co ty tam budujesz, płot czy więzienny mur? Zrobię ci przelew na trzy tysiące.

- Trzy tysiące? Myślałam, że mówisz o setkach. Zrobię kosztorys. Na pewno nie potrzeba aż tyle.

- Postaw to ogrodzenie i przyślij mi rachunek.

- To tylko pożyczka.

- Dobra, dobra!

Wyobraziła sobie, że wzrusza teraz lekceważąco ramionami. Uśmiechnęła się.

- A jak się miewa twoja lepsza połowa? - zapytała.

- Gdy ostatni raz ją widziałem, była w świetnej formie. Wiesz, co wczoraj zrobił Josh?

Julia wysłuchała opowieści o bratanku, następnie rozmowa zeszała na podróże rodziców, a potem na ostatnie mecze baseballowe. Dopiero w łóżku przypomniała sobie dziwny ton Mitcha, gdy spytała o Annabel. Czyżby przechodzili małżeński kryzys? E, pewnie robi z igły widły. Brat i bratowa często długo się nie widywali, taką mieli pracę.

Następnego dnia wyszła z pracy o drugiej i pomaszzerowała do sklepu z towarami żelaznymi, żeby wziąć ulotki o materiałach na ogrodzenia. Szła do domu spacerkiem, a słońce grzało ją w plecy. Dawno nie czuła się tak dobrze.

Weszła do ogrodu w błogim nastroju. Na widok Jacka jej zmysły od razu się rozbudziły. Siedział na jednej ogrodowej ławce, chorą nogę oparł na drugiej. Odchylił głowę do tyłu, miał zamknięte oczy. Nie widział jej. Podeszła do niego na palcach.

Po raz pierwszy w ciągu tego całego tygodnia mogła się na niego napatrzeć do woli.

Miał na sobie koszulkę bez rękawków. A konkretnie t-shirt, którego rękawki oddarto. Jedna ręka spoczywała na głowie McCoya. Głaskał go opuszkami palców. Julia dopiero teraz zauważyła psa, który spał u stóp Jacka.

Przeniosła wzrok na drugie ramię. Długie palce obejmowały puszkę z zimnym napojem. A sama puszka opierała się o płaski brzuch. Julia podeszła jeszcze trzy kroki bliżej. Zauważyła jego kciuk, który zataczał kręgi na boku puszki.

Intensywne uderzenie gorąca zupełnie ją oszołomiło. Wróciło wspomnienie. Ten kciuk w podobny sposób pieścił jej ciało. Przycisnęła chłodną dłoń do czoła. Trwała tak przez dłuższą chwilę.

On przecież nie śpi.

Przeniosła wzrok na jego twarz. Obserwował ją spod zmrużonych powiek. Zsunęła dłoń z czoła i przykryła usta. Musiała wydać z siebie jakiś dźwięk, bo McCoy się obudził i przywitał ją merdaniem ogona.

Dzięki niemu miała szansę się pozbierać. Gdy pies pobiegł za jakimś ptakiem, odwróciła się do Jacka. Siedział prosto. Zdejmował nogę z ławki.

- Zostaw ją - powiedziała szybko.

Uśmiechnął się słabo, ale jednak się uśmiechnął. Po raz pierwszy w ciągu tego tygodnia. Poczła radość.

- Chciałem ci zrobić miejsce. Jeśli będziesz się grzecznie zachowywała i chwilę tu posiedzisz, to może uda ci się spławić sąsiadkę,

Julia spojrzała w stronę ogrodu pani H. Jack zachichotał.

- Tak, tak, to o niej mówiłem. Podgląda mnie co najmniej od godziny.

Julię ogarnęła skrucha. Powinna była zawiadomić sąsiadów, że Jack się tu zatrzyma. Nie zrobiła tego, bo... tak było łatwiej.

- Jak ci minął dzień? - zapytał jak zwykle.

Lecz dziś zadał to pytanie z uśmiechem. Zaprosił ją na ławkę obok siebie. Dziś nie odwracał wzroku na jej widok.

A ona nie rzuciła dziś krótkiego „dobrze” i nie poszła sobie. Paplała bezmyślnie o pracy w dziale reklamacji.

- A co u ciebie? - zapytała w końcu, gdy już opowiedziała wszystkie anegdotki.

- Byłem u rehabilitanta. I poszedłem z McCoyem na spacer.

Dla wygody wyciągnął nogę i przyglądał się usztywnieniu sięgającemu od kostki po udo.

- Jak długo musisz to jeszcze nosić?

- Cztery tygodnie.

- To dla ochrony? Czy też masz się na tym opierać?

- Przede wszystkim dla ochrony. Ogranicza ruchy, nie pozwala mi zgiąć kolana za bardzo.

Ależ się rozgadał! Przez kilka ostatnich minut z jego ust padło więcej słów niż w ciągu pięciu poprzednich dni. Zachęcona przyjrzała się jego chorej nodze. Nareszcie mogła zaspokoić swoją ciekawość.

- Na czym dokładnie polegała operacja?

- To nudna historia.

- Nudniejsza niż opowieści o moim sklepie? Parsknął śmiechem, a ona poczuła się tak, jakby na jej zmysły spłynął ciepły miód. Jack przechylił głowę na bok i przyglądał się jej uważnie. Poklepał ławkę koło siebie.

- Usiądź tu.

- Po co?

- Bo potrzebuję kolana, żeby ci wszystko wytłumaczyć. - Pokazał na swoje zdrowe kolano. - Moje się nie nadaje, bo jest niedostępne pod spodniami.

Julia się zawahała.

- No to chcesz się dowiedzieć, na czym polegała operacja, czy nie?

Westchnęła teatralnie i usiadła.

- Kolano?

Wzniosła oczy do nieba. Lecz gdy wyciągnął do niej rękę, posłusznie uniosła rąbek spódnicy i odsłoniła kolano.

- Dobrze. To teraz będzie lekcja anatomii. Zerwałem sobie więzadło, które ma zaczepy tu i tu.

Narysował palcem linię łączącą kość-goleniową z kolanem. To była zwykła, niewinna demonstracja, nic więcej. Mimo to Julię zalała fala gorąca. Obróciła się nieco bokiem do Jacka. Dzięki temu znalazła się poza zasięgiem jego dłoni.

- I co zrobili lekarze?

- Upraszczając, wywiercili dziurę w każdej z kości i przyczepili do nich więzadło.

- Musisz nosić to usztywnienie przez cały czas?

- Prawie.

- A w nocy?

- Też.

- A pod prysznicem? Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- A nie zastanowiła cię duża ilość folii w śmietniku?

- Opakowujesz nogę? Na litość boską, jak udaje ci się to zrobić samemu?

- Nie jest łatwo.

- To czemu nie poprosisz o pomoc? Zamarł.

- Żartujesz, prawda?

Żartowała? Usztywnienie obejmowało całą nogę, aż po uciętą w pachwinie nogawkę dzinsów. Tylko że w łazience nie miałby na sobie dzinsów. Byłby nagi. Na pewno ręce trzęsłyby się jej jak galareta. Wzrok by się jej zamglił. Próbowwała przypomnieć sobie, o czym mówili.

- No, dobrze, może nie umiałabym owinać ci nogi specjalnie... fachowo, ale na pewno mogłabym ci pomóc w innych rzeczach. Na przykład, mogłabym ci obrębić uciętą nogawkę.

- Kiedy mnie się tak podoba. Pierwsze podejście.

- Na pewno musisz robić ćwiczenia. Mogłabym ci w nich pomóc.

- Radzę sobie sam. Drugie podejście.

- Nie możesz prowadzić samochodu. Gdybyś potrzebował gdzieś pojechać, to mów, podrzucę cię.

- Dzięki, ale spacerowanie dobrze mi robią. Koniec. Julia pokręciła z rozdrażnieniem głową.

- Lisa mnie ostrzegła.

- Rozmawiałas o mnie z Lisą?

Poczuła się nieswojo pod jego oskarżycielskim spojrzeniem.

- Tylko przez chwilę, gdy po ciebie przyjechałam. Zamieniłyśmy parę słów podczas przygotowywania lunchu.

- A przed czym konkretnie cię ostrzegła?

- Powiedziała, że jesteś uparty, niezależny i nie pozwolisz sobie pomóc.

- Przecież ona i beze mnie miała dość na głowie.

- Ale chciała ci pomagać. Miała poczucie winy, bo uszkodziłaś sobie nogę przez Jaya.

- Ona miała poczucie winy? Przecież Jay nie wdrapałby się na to drzewo, gdyby nie usłyszał, jak mówiłem, że jest wprost stworzony do wspinaczki.

- Co nie znaczy, że to była twoja wina - przerwała mu łagodnie.

- Julio, on był pod moją opieką. Nie powinienem był spuszczać go z oczu. Ani na moment.

Och, Jack. Nie mogła się powstrzymać, położyła mu dłoń na ramieniu. Zamarł.

- Nie patrz tak na mnie. Nie chcę twojej litości. Jego głos był równie przeszywający, co spojrzenie srebrzystoszarych oczu. Julia szybko cofnęła dłoń.

- Nie chciałam.

- Nie? To czemu mnie dotknęłaś? Czemu tak bardzo chcesz mi pomagać?

- Myślałam, że to ci przyniesie ukojenie. Przepraszam.

- Do diabła, Julio. Jeśli chcesz mnie dotykać... gdziekolwiek... to proszę bardzo. Tylko się nie spodziewaj, że mnie to ukoji. I nie przepraszaj.

- Chcesz powiedzieć...?

- ...że marzę o twoim dotyku? - Spojrzał jej prosto w oczy. Przekaz był jasny i bezpośredni. Julia poczuła, że serce wyrывa się jej z piersi. - Co noc leżę w łóżku, gdy dzieli nas tylko ściana, i myślę o twoim dotyku.

Julia przełknęła ślinę, zwilżyła wargi.

- Nie wiedziałam. Nic nie dałeś po sobie poznać...

- Miałem zastukać w ścianę?

- A co z kontuzją?

- Mam chore kolano. Wszystko inne działa.

Miała ochotę to sprawdzić. I ledwie się powstrzymała. Serce wołało: Tak! On też wciąż to czuje! Lecz rozum nakazywał zwolnić tempo. W ciągu kilku najbliższych dni wszystko może się skomplikować.

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- To nigdy nie był dobry pomysł, Julio. Lecz poprzednim razem to nas jakoś nie powstrzymało.

- Teraz wchodzą w grę jeszcze inne czynniki. Twoje kolano. Mieszkanie pod jednym dachem.

Parsknął krótkim, ostrym śmiechem.

- Hej, możesz po prostu powiedzieć, że nie jesteś zainteresowana.

Gdyby tylko to było takie proste.

- Nie w tym rzecz. To... skomplikowane. Spojrzała na niego. Błagała go niemo o zrozumienie.

Nie mówiła „nie”. Mówiła „tak”, ale nie teraz, później. Nagle zapragnęła, by to nastąpiło jak najszybciej. Wyprostowała się.

- Muszę jechać do Cliffton, zanim zamkną sklepy, żeby kupić coś na kolację?

Przez długą chwilę patrzył jej prosto w oczy. W końcu wziął się w garść i powiedział:

- Nie fatyguj się ze względu na mnie. Zjem coś w mieście.

- Wychodzisz?

- Najwyższy czas pogadać z Billem o przeprowadzce. Serce podskoczyło jej do gardła.

- Nie musisz.

- Owszem, muszę.

Nie było sensu się kłócić, widziała to po jego minie.

- Dobrze, ale byłabym ci naprawdę wdzięczna, gdybyś wstrzymał się z tym jeszcze przez kilka dni.

- Czemu?

Zacisnęła kciuki i wzięła głęboki wdech.

- Chciałabym, żebyś mi pomógł przy tym ogrodzeniu. Mam jutro wolne. Liczyłam na to, że zaczniemy pracę. - A potem, gdy podejrzliwie zmrużył oczy, chwyciła torebkę, wyjęła z niej ulotki i położyła je na ławce. - Rzuć na to okiem i powiedz, co myślisz.

- Teraz?

- Gdy pojedę do Clifton.

Nie czekała na odpowiedź. Wstała i odeszła. Potem mogła się już tylko modlić o to, by po powrocie tu jeszcze był.

Wszystko szło tak dobrze. Po tygodniu tortur stan kolana zaczął się w końcu poprawiać. Jack był z siebie taki zadowolony, że nawet sąsiadka-podglądaczka nie zdołała wyprowadzić go z równowagi. Natomiast Julii się to udało. Poprosił ją, by usiadła. Wciągnął w rozmowę. Wymyślił nawet pretekst, żeby jej dotknąć.

A potem pojawił się temat prysznic. Wyobraził sobie, jak ona przed nim klęczy i owija mu chorą nogę folią...

Wystarczyło jedno spojrzenie tych orzechowych oczu okolonych ciemnymi rzęsami. A tak ze sobą walczył przez ten ostatni tydzień... Przez osiem tygodni.

Chyba zdołałby nad sobą zapanować, gdyby nie położyła mu dłoni na ramieniu. W jej oczach dostrzegł niezdecydowanie. Jakby go pragnęła, lecz coś nie pozwalało jej się temu poddać. Może martwiła się tym, co powiedzą ludzie. Dłuższy romans to coś zupełnie innego niż jedna noc.

Wziął kule i wstał z ławki. Jedyne miejsce w Plenty mieścił się na obrzeżach miasta, spory kawałek od Bower Street. To będzie chyba lepsze wyjście niż zależność od Billa czy Julii.

Ruszył i zatrzymał się w recepcji. Dopiero wtedy poczuł, jak bardzo dał sobie w kość. Był zlany potem. Otarł twarz rękawem koszuli. Rozejrzył się dookoła. Nie był sam.

Siedząca za kontuarem kobieta w średnim wieku przyglądała mu się z mieszaniną niesmaku i przerażenia. Popęłnił kolosalny, taktyczny błąd. Przyszedł tu swobodnie ubrany, bez namysłu. Po prostu chciał uciec.

- W czym mogę pomóc? - zapytała recepcjonistka. Jack dobrze wiedział, że najchętniej pomogłaby mu znaleźć się po drugiej stronie drzwi.

- Chciałbym wynająć pokój na dwa tygodnie, może nawet na trochę dłużej.

- Przykro mi, ale wszystko zajęte.

- Ani jednego wolnego pokoju? - Zerknął na księgę meldunkową na kontuarze. Była zamknięta. - Może pani sprawdzi?

- Ja wszystkich melduję, więc wiem, że nie ma dla pana pokoju.

- Niech pani posłucha. Moje pieniądze są tyle samo warte, co pieniądze innych.

- Wyjął portfel z kieszeni i położył na kontuarze plik banknotów. - Zapłacę, ile pani zechce.

Spojrzała podejrzliwie.

- Pytał pan w innym hotelu? Może tam mają coś wolnego.
- Tam przede wszystkim mają ze trzydzieści schodków.

Uniósł na potwierdzenie swoich słów jedną z kul. Nachylił się i wziął do ręki wizytówkę motelu.

- Chciałbym rozmawiać z kierownikiem... panem Graingerem, tak?
- Jestem jego żoną. Nic nie mogę dla pana zrobić. Czy to wszystko?

- Słyszałeś - powiedział przeciągle Bill. - Nie mogę się tobą zajmować. Lepiej ci tam, gdzie jesteś.

Jack zamknął oczy i próbował się uspokoić.

- Nie chcę, żebyś się mną zajmował. Proszę tylko o kawałek podłogi na materac.

Bill prychnął.

- Będziesz mi zawracał głowę, wiercił z nudów dziurę w brzuchu.

Rany, jak on nie znosi o nic prosić.

- Proszę cię o przysługę. Nie odpowiada mi miejsce, gdzie teraz jestem. Jakbym mieszkał w domku dla lalek.

- Moje mieszkanie też nie przypomina Hiltona.

- Daj spokój, stary, nie mogę tam wytrzymać. Mądrą twarz Billa rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Dziewczyna, co? Zignorował tę uwagę.
- Dasz mi odetchnąć?
- Odwiozę cię. Jack zacisnął zęby.
- Nie fatyguj się. Nie jestem kompletnym inwalidą.

Sześć przecznic dzielących go od domu Julii pokonał niemal sprintem. Dziesięć metrów przed metą musiał przystanąć i złapać oddech. Nie będzie medalu. Oparł się o płot.

- Co pan wyprawia? - dobiegł go surowy głos. - Sio, albo zadzwonię po policję.

Wyprostował się. Sąsiadka. Ta, która go wcześniej podglądała. Nie był pewien, czy go teraz rozpoznała, gdy było prawie ciemno. Odwrócił się. Dopiero wtedy opuściła grabie.

Przeniósł ciężar ciała na kule i wyciągnął do niej dłoń.

- Powinienem był przedstawić się po południu. Nazywam się Jack O'Sullivan. Jestem bratem Kree. Mieszkam u Julii.

- Wiem, kim pan jest. - Zignorowała wyciągniętą rękę. - Jak długo pan tu jeszcze zostanie?

Miała minę niemal taką samą, jak recepcjonistka w motelu. Jack zrozumiał przekaz.

- Tak krótko, jak się tylko da - odparł powściągliwie. Czuł na plecach jej wzrok, gdy znikał w ogrodzie Julii. Świetne zakończenie tych kilku godzin piekła, podczas których potwierdziło się to, co i tak wiedział. Dobrzy ludzie z Plenty są pamiętliwi. A Jack O'Sullivan nie budził w nich dobrych wspomnień.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Julia przykryła usta dłonią, żeby stłumić spontaniczny okrzyk radości. Lecz nie była w stanie zapanować nad szerokim, promiennym uśmiechem.

Wpatrywała się w proroczy pasek, aż zamglił się jej wzrok. Po chwili już nic nie widziała przez łzy. Ugięły się pod nią kolana. Musiała usiąść. Pociągała nosem jak dziecko, śmiała się jak idiotka. I nic ją nie obchodziło, że siedzi na zimnej podłodze w łazience. Położyła drżącą dłoń na wciąż jeszcze płaskim brzuchu.

Tam rosło dziecko. Jej dziecko. Jej i Jacka. Podejrzewała to już wcześniej, ale nie wierzyła do końca. Bo jak to się mogło stać?

Przecież się zabezpieczyli. Najwyraźniej któraś z prezerwatyw pękła. To jedyne wytłumaczenie. Ironia losu.

Przez wszystkie lata z Paulem tak się o to modliła, chciała, by zabezpieczenie okazało się nieskutecznie. Nie miała szczęścia. Ale on zawsze był taki skrupulatny i dokładny, taki... inny od Jacka.

Jack jest nieobliczalny.

Boże, jak on to przyjmie? Przez cały tydzień zmagала się ze wspomnieniem tego poranka na werandzie, gdy oskarżył ją o to, że przespała się z nim tylko z jednego powodu. By zająć w ciążę.

Jak ona ma mu teraz to powiedzieć?

Przydałoby się trochę czasu na ochłonięcie, na zastanowienie się nad konsekwencjami, na staranny dobór słów.

- Nie. - Wyprostowała się. - Musisz mu powiedzieć. Zaraz, jak najszybciej.

Rzecz w tym, że gdy wróciła z Clifton, jego nie było w domu. Wszędzie panowała złowroga cisza. Sam powiedział, że to był ważny dzień, więc może jest w swoim pokoju, gdzie odpoczywa. Ale mógł się też spakować i wynieść, wbrew jej prośbie. Mimo że zadzwoniła do Billa i poprosiła go o pomoc. Czy powinna zapukać do jego pokoju? To się wydawało logicznym posunięciem, lecz Julia się wahała.

Nie mogła zapomnieć o tym, jak spojrzał na nią dziś po południu, w ogrodzie. Te palące słowa: „Co noc leżę w łóżku, gdy dzieli nas tylko ściana, i myślę o twoim dotyku”. A jeśli już się położył?

Siedzenie na podłodze i dzielenie włosa na czworo nic nie pomoże. Westchnęła, wstała i roztarta zdrętwiałe nogi.

Zatrzymała się pod drzwiami i nadstawiła ucha. Cisza. Poszła do swojego pokoju. Czowała ulgę. Zyskała na czasie, mogła spokojnie pomyśleć. Być może rano będzie musiała wybrać się na poszukiwania Jacka.

Spodziewała się, że nie będzie mogła spać i tak właśnie było. A jednak rano była pełna energii. Och, wiedziała, że to nerwy. Ale ten dziwny stan nie minął nawet po rozmrożeniu lodówki, rozwieszeniu trzech porcji prania i wyszorowaniu łazienki.

Wciąż była sama.

Pomyślała o spacerze z McCoyem, ale odrzuciła ten pomysł. Bill? Też nie. A jednak zebrała się i poszła na spacer. O dziwo, energiczny marsz jeszcze dodawał jej sił.

Na dłuższą metę reakcja Jacka nie ma żadnego znaczenia. Wiedziała, że negatywna reakcja ją zrani, ale była gotowa stawić czoło sytuacji sama, jeśli tak będzie trzeba. Da sobie radę. Będzie najlepszą matką pod słońcem. Z Jackiem lub bez niego.

- Muszę z tobą porozmawiać - zaczęła.

- O tym, co powiedziałem wczoraj po południu?

- Nie do końca... chociaż w pewnym sensie tak. -Wypuściła oddech. Jackowi zrobiło się gorąco. - Miałam ukryty motyw, żeby cię tu zatrzymać.

Krew buzowała mu w żyłach. Ogarnęła go euforia. Chciała, żeby tu był. Zapomnijmy o silnej woli, zapomnijmy o komplikacjach. O kolejnej bezsennej nocy wypełnionej niespełnionym pożądaniem...

Zmniejszył dzielący ich dystans. Nie zważając na jej rozszerzone ze zdziwienia oczy, przyparł ją do barierki. Zaplątał palce w jej włosy i pocałował ją namiętnie. Jak mógł bez tego żyć przez osiem tygodni?

Odsunął się od niej nieco.

- Jeśli niewłaściwie zrozumiałem twój ukryty motyw, lepiej powiedz teraz... - Uniósł dłoń do jej policzka. Spojrzał prosto w oczy. Nagle dobiegł ich warkot podjeżdżającego auta. Po chwili trzasnęły drzwi samochodu.

Jack oparł podbródek na czubku głowy Julii i zerknął w stronę ulicy. Ktoś właśnie otworzył bagażnik land-rovera.

- To twój brat.

Zamrugła powiekami, wyprostowała się i oblizwała wargi. Sekundę później biegła ścieżką w stronę furtki. Ze śmiechem rzuciła się Mitchowi na szyję. Co było o tyle trudne, że Mitch trzymał na rękach wierzące się dziecko.

Mitch cmoknął ją w czubek głowy. Jack poczuł się tak, jakby dostał cios w splot słoneczny. Stracił dech, zachwiał się i obrócił gwałtownie. Nie chciał być świadkiem tego rodzinnego spotkania. Wszedł do domu, lecz nawet przez zamknięte drzwi słyszał jej śmiech, widział radosną minę dziecka, które zarzuciło jej rączki na szyję. I czuł w sobie niewyobrażalną pustkę.

Jack spacerował po ogrodzie, rzucał patyki McCoyowi i myślał o ogrodzeniu. Cokolwiek zdecyduje Julia w kwestii materiałów, na pewno będzie trzeba postawić słupki. A żeby ustawić słupki, trzeba wykopać dołki. Pomysł zmagania się z gliniastą ziemią za pomocą ostrego, metalowego narzędzia doskonale pasował do jego aktualnego nastroju.

Piętnaście minut później odrzucił na bok łopatę. Chore kolano bolało jak diabli. Koniec z tym. Stał oparty o łopatę, gdy skrzypnęły tylne drzwi i wybiegł przez nie jasnowłosy chłopczyk.

Nim Jack zdołał zebrać myśli, dziecko i duży, energiczny pies stworzyli piszczącą, szczekającą płataninę nóg, rąk i łap. Jackowi serce stanęło w piersiach. Rzucił się w ich stronę. Próbował przywołać McCoya gwizdaniem, ale pies go nie usłuchał. Dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że przecież chłopiec zna McCoya, bo to pies Mitcha. Dziecku groziło tylko jedno - że zostanie zalizane na śmierć.

Jack osunął się na ławkę. Zamknął oczy. Poziom adrenaliny miał wciąż wysoki. I jeszcze to cholerne kolano. Najwyższy czas się o nie zatroszczyć, bo inaczej znowu wyląduje w szpitalu. I już na zawsze zostanie tu jako rekonwalescent.

Coś potrafiło jego zdrową nogę. Otworzył oczy i zobaczył chłopczyka, który stał przed nim i wpatrywał się w niego rozszerzonymi oczami. Były bardzo podobne do oczu Julii. Jack nie był w stanie zebrać myśli. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Masz złamaną nogę? Jack odchrząknął.
- Można tak powiedzieć.
- Dlaczego ci się złamała?
- Spadłem z drzewa.
- A co robiłeś na drzewie?

Jack myślał nad odpowiedzią, gdy otworzyły się drzwi. Nie musiał patrzeć. Wiedział, że to Julia.

- Widzę, że już się poznaliście.
- Nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni.
- On spadł z drzewa. Z tego? - Chłopczyk pokazał na wielki cedr w rogu ogrodu.

- To jest Jack. Jemu też nie pozwalałam wspinać się na to drzewo.

- A niech to szlag!

- Josh! Gdzieś ty to słyszał?

- Tata tak mówi. - Josh uśmiechnął się. - Boli cię ta noga?

- Bez przerwy - wyręczyła go w odpowiedzi Julia. -A teraz może byśmy poszli z McCoyem na spacer?

- Pójdiesz z nami? - chłopiec zapytał Jacka.

- Bardzo bym chciał, ale noga mnie okropnie boli. - Podniósł wzrok na Julię. - A gdzie Mitch?

- Hej, Josh, pamiętasz, gdzie jest smycz McCoya? -Dopiero gdy chłopiec znalazł się poza zasięgiem wzroku, spojrzała z troską na Jacka. - Mitch musiał jechać. Josh zostanie przez jakiś czas z nami.

- Z nami?

Być może to było zwykłe przejęzyczenie, ale go nie poprawiła. A on nie potrafił zignorować milczącej prośby w jej oczach. Josh już do nich biegł, ciągnąc za sobą smycz. Jack kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Później mi wyjaśnisz.

Zostali sami dopiero wtedy, gdy nakarmili i wykąpali Josha i poczytali mu na dobranoc. Julia padła na kanapę.

- Zrobić ci herbaty? - zapytał Jack z kuchni. Zauważyła, że pozmywał naczynia. Teraz już nic nie przeszkadzało im w rozmowie. Tylko zebrać myśli i zacząć. Przez ostatnie dwanaście godzin ani przez moment nie myślała o ciąży. Wciąż wracała natomiast do tego nieoczekiwanego, porannego pocałunku. Ciekawe, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie przyjechał Mitch?

- Halo? Jesteś tu?

Ocknęła się z zamyślenia. Cały czas siedziała na kanapie i wpatrywała się w Jacka. Nie odpowiedziała na jego pytanie. I już nie musiała. Na stoliku obok stała filiżanka gorącej herbaty.

- Dzięki. To mi dobrze robi. Zapomniałam już, jak trzylatek potrafi człowieka zmęczyć.

- Spróbuj kiedyś z bliźniakami.

Kanapa się ugięła pod jego ciężarem. Julia podciągnęła nogę i odwróciła się do niego.

- Lisa mówiła, że świetnie sobie radziłeś.

- Cóż, robiłem, co mogłem.

Julia stłumiła śmiech. Wcześniej w podobny sposób skwitował jej zachwyty nad wspaniałą robotą przy płocie. Był rozbijający, miała ochotę przysunąć się do niego i go uściskać. Tymczasem to on położył rękę na oparciu kanapy. Natychmiast poczuła falę gorąca.

- O co chodzi z Mitchem? Julia odchrząknęła.

- Annabel od niego odeszła. Zagwizdał przez zęby.

- Na serio czy tylko się pokłócili?

- Na pewno nie z powodu kłótni. Była w Europie. Zadzwoiła, żeby powiedzieć, że nie wraca.

Milczał przez chwilę.

- Inny mężczyzna?

- Mitch nic nie powiedział, ale domyślam się, że może o to chodzić. Przywiózł Josha, bo chce lecieć do niej.

Jack kiwnął głową w stronę pokoju, w którym spał chłopiec.

- Więc on tu zostanie przez jakiś czas?

- Trzy, cztery dni. Moi rodzice wrócą, jak tylko zdobędą bilety. Wezmą go do siebie, do Sydney. - Napiła się herbaty. Była zmartwiona. - Wciąż się boję, że on zacznie zadawać pytania. Zwykle zostaje tylko na jedną noc, czasem dwie. Gdy Mitch nie wróci po tym czasie, będzie chciał wiedzieć, czemu. Nie umiem kłamać. Co mam mu powiedzieć? Jak mu to wyjaśnić?

- Nic mu nie musisz wyjaśniać. To tylko trzyletnie dziecko.

- Tak, ale...

- Przestań się zamartwiać, Julio. Poradzisz sobie z tym, gdy będzie trzeba. W ten sam spokojny, kompetentny sposób, w jaki radzisz sobie ze wszystkim innym.

- Tak uważasz? - Wyciągnęła rękę, żeby mu pokazać, jak się trzęsie. - Gdzie tu spokój i kompetencja?

W tej samej chwili jej głos się załamał. Przełknęła łzy. Gdyby nie złapał jej za rękę, zerwałaby się z kanapy i pobiegła do swojego pokoju. Jack zmusił ją, by na niego spojrzała.

- Chcesz porozmawiać o tym, co cię naprawdę gryzie?

- Gryzie mnie sprawa Mitcha! Przesunął kciukiem po jej nadgarstku.

- Czy to nie wygląda trochę jak déjà vu? Pokręciła głową.

- Myślę o twoim małżeństwie, Julio. O tym, że mąż cię zostawił.

Zamrugła powiekami.

- Paul mnie nie zostawił. To była... wspólna decyzja.

- A nie było jakiejś innej kobiety?

- Owszem, ale ja o niej wiedziałam. Rozmawialiśmy, próbowaliśmy znaleźć wyjście z sytuacji, ale on się zakochał. Wiedziała o tym. - Wzruszyła ramionami. - Nie mogłam żyć w takim małżeństwie.

- A gdyby było dziecko?

Świetne zagajenie. Nadal trzymał ją za rękę, patrzył na nią. Należało teraz tylko powiedzieć: „Jest dziecko, Jack. Nasze dziecko”. Tylko że nie mogła się na to zdobyć. Musiała się najpierw dowiedzieć czegoś więcej.

- Czy, twoim zdaniem, dziecko powinno mieć oboje rodziców? - wyrzuciła z siebie.

- Czy to pytanie natury ogólnej czy dotyczy konkretnej sytuacji?

Serce podskoczyło Julii do gardła.

- Bo jeśli mówisz o Joshu, to skąd mam wiedzieć? Robi wrażenie szczęśliwego dziecka. Dobrze sobie radzi z wyjazdami rodziców. Więc chyba lepiej, żeby wychowywali go oboje.

Poczuła ulgę. Mówił o Joshu. Nie domyślił się jej sekretu, nie odczytał go z jej twarzy. A teraz w ogóle nawet na nią nie patrzył. Wydawało się, że jest myślami gdzieś daleko, może setki mil stąd. Czy myślał o swoich rodzicach?

Wiedziała, że przywoływanie jego przeszłości to ryzykowna sprawa, ale musiała sprawdzić, które ze starych ran się zabiły, a które nadal są otwarte. I dlaczego osiem tygodni temu powiedział jej, że małżeństwo nie mieści się w jego planach.

- W wielu wypadkach dziecku jest lepiej z jednym rodzicem - powiedziała ostrożnie.

Coś błysnęło mu w oczach. Coś zimnego i posępnego.

Przez chwilę Julia pożałowała, że zaczęła ten temat, ale tylko przez krótką chwilę. Musiała to wiedzieć.

- A ty, Jack? Jak było z tobą, gdy twoi rodzice się rozstali?

- Mój ojciec był. alkoholikiem. Nigdzie nie pracował dłużej niż miesiąc. Gdyby matka była silniejsza, dużo wcześniej by go rzuciła... - Przerwał nagle. Pokręcił głową. - Nie chcesz chyba słuchać opowieści o mojej żalostnej rodzinie.

Ależ chciała! Spojrzała na jego smutną twarz i poczuła ukłucie tęsknoty tak silne, że niemal nie do wytrzymania. Ucisnęła jego dłoń.

- Opowiedz. Chcę wiedzieć.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby oceniał szczerą jej intencję. Gdy wyswobodził swoją dłoń, wstrzymała oddech. Odchrząknął. „Mów do mnie, Jack. Proszę cię”.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Ojciec zaczął kraść. Zginął w więziennej bójce.
- Wzruszył ramionami, lecz Julia dobrze wiedziała, że to udawana obojętność. - Kilka tygodni później wylądowaliśmy tutaj. W Plenty.

- Nienawidziłeś tego miejsca, prawda?

- Raczej tego uczucia, jakie we mnie wywoływało. - Wbił wzrok w dłoń. Przez dłuższą chwilę milczał, a potem wypuścił z sykiem powietrze z płuc. - Czułem się tu jak w pułapce.

- I dlatego wyjechałeś?

- Gdy tylko skończyłem praktyki.

- Nie z powodu Claire Heaslip? - zapytała.

- Claire? - Podniósł głowę. - Pewnie słyszałaś plotki.

- Tak, ale plotki nie zawsze oddają prawdę.

- Fragment o tym, że wykorzystwała mnie, żeby się zabawić, jest prawdziwy. Natomiast co do jej zarzutów... Nie była w ciąży, a w każdym razie nie ze mną. Nie dlatego wyjechała z miasta. Ja też nie dlatego wyjechałem.

To było dużo gorsze niż plotki, które do niej dotarły. Opanowały ją złe przecucia. Dziewczyna z dobrego domu z bogatej części miasta zaciągnęła go do łóżka, a potem rozpuściła plotkę, że jest w ciąży. Nic dziwnego, że na to wspomnienie opanowywała go gorączka.

- Wyjechałem, bo już nie mogłem tu wytrzymać. Wstydziłem się nory, w której mieszkaliśmy. Nie mogłem zaprosić do siebie kolegów, nie znośm chodź do nich, bo wtedy oglądałem to, czego my nie mieliśmy.

Julia pragnęła go ukoić, dotknąć, ale wiedziała, że w tej chwili by tego nie chciał. Bo nie znośm litości.

- Nienawidziłem siebie, nienawidziłem swoich rodziców, nienawidziłem tego miasta, bo uświadamiało mi, kim nie jestem. I kim nigdy nie będę.

- To tylko jedna strona medalu - powiedziała wolno.

- A jest jakaś druga?

Zignorowała jego uszczypliwy ton. Przechyliła głowę.

- Bill mówi, że jesteś świetnym mechanikiem. Niemal tak dobrym jak on.

- Od dawna jestem od niego lepszy!

- Bo przekazał ci wszystko, co wie? Prychnął lekceważąco.

- Bo pytałem o wszystko, czego nie wiedział.

- A więc, panie supermechaniku, czy nie uważasz, że powinieneś podziękować swoim rodzicom, temu miastu i Billowi? Bo wygląda na to, że to dzięki nim udowadniasz, iż się mylą.

- Tu widzą we mnie jedynie wicherzyciela. Nie słuchałaś plotek?

- Już mówiłam, że plotki w Plenty rzadko mają coś wspólnego z rzeczywistością.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

- Jesteś niesamowita, wiesz?

Nagle Julia znalazła się pod urokiem jego uśmiechu, domysłów w spojrzeniu. Coś między nimi iskrzyło, coś, co przekraczało przyciąganie fizyczne, co sięgało na jakiś głębszy poziom.

Wiedziała, że on też to czuje... I to go niepokoi. Odwrócił oczy, wbił znowu wzrok w swoje ręce. Uśmiechnął się drwiąco.

- Wiesz, w szkole średniej, gdy myślałem o tym, czego nie mam, to przed oczami stawał mi Mitch Goodwin. Chciałem nim być, chciałem żyć jego życiem.

- Ale teraz już nie chciałbyś być Mitchem. On jest zdruzgotany. - Julia przypomniała sobie cierpienie w oczach brata, jego poczucie beznadziei oraz dezorientację. - Żałuję, że nie mogę mu pomóc.

- Moim zdaniem opieka nad Joshem to całkiem konkretna pomoc.

Zaśmiała się.

- To drobnostka.

- Wydaje ci się, że nie jest wdzięczny za to, że ma bezpieczne miejsce, gdzie może zostawić dziecko? Ma pewność, że chłopiec jest tu szczęśliwy.

- Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam. - Gdy napotkała jego spojrzenie, poczuła, jak rośnie jej wewnętrzna siła, - Teraz muszę tylko wymyślić jakiś sposób, żeby nie stracić pracy, gdy dbam o zapewnienie dziecku bezpiecznego, szczęśliwego domu.

- Nie możesz iść na zwolnienie? - Chyba zobaczył jej przerażoną minę, bo uśmiechnął się drwiąco. - Nie, no pewnie, że nie możesz.

- Coś wymyślę.

Rzecz w tym, że niełatwo będzie znaleźć kogoś na zastępstwo w tak krótkim czasie.

- Jeśli to w czymś pomoże, mogę się nim zająć, gdy pójdziesz na rozmowę do szefa.

Spojrzała na niego. Rozważała jego propozycję. Przypomniała sobie historię z Jayem. Wiedziała, że ważna jest kwestia zaufania.

- Może tylko rano. Pójdę do sklepu i spróbuję wszystko jakoś zorganizować, pozamieniać się z innymi. Nie znoszę zostawiać ludzi na lodzie. Zgadzasz się?

- Nie ma sprawy. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Chyba jestem ci winna jeszcze jednego drinka.

- Pierwszych dwóch nigdy mi nie postawiłaś.

- No, tak, ale o ile pamiętam, odwrócono moją uwagę. Te dwa krótkie zdania wystarczyły, by zupełnie zmieniła się atmosfera.

- To był męczący dzień - powiedział wolno Jack. - Chyba nie powinniśmy iść dalej w tym kierunku.

Spojrzeli sobie prosto w oczy. Wróciły wspomnienia. Julia zadała sobie nagle pytanie, czy ona chciałaby iść dalej. Tak, bez wątpienia. Ale dopiero wtedy, gdy usunie wszystkie przeszkody, a to wymaga sporo pracy. Zbyt dużo, jak na dzisiejszy wieczór.

Dlatego nie opierała się, gdy wziął ją za rękę, pomógł wstać z kanapy i pocałował w czoło.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Znowu był pod obserwacją podglądaczki spod numeru szesnaście, choć może lepiej pasowałoby tu określenie: inwigilacja. Normalnie już parę godzin temu straciłby cierpliwość, lecz tego ranka był w absolutnie błogim nastroju. Tak podziałała na niego zabawa w piaskownicy. Josh porzucił właśnie swoją zabawkową ciężarówkę i zerwał się na równe nogi.

- Możemy iść teraz na spacer z McCoyem?

- Czemu nie, stary. - Jack wyprostował się i prawie zaklął. Piasek dostał się pod usztywnienie. - Może pójdziesz po smycz, a ja tymczasem oczyszczę nogę z piasku.

Chłopiec już biegł do domu po smycz. Energicznie przebierał nóżkami. Jack pokręcił z uśmiechem głową. Rzeczywiście jest dziś w wyjątkowo pogodnym nastroju, skoro nawet otarcia nie zdołały go zepsuć. Niby trudno nie być w dobrym humorze, gdy człowiek jest z takim dzieciakiem, jak Josh, ale Jack dobrze wiedział, że nie to jest prawdziwym powodem.

Julia. Czuł się tak, jakby poprzedniego wieczora otrzymał od niej jakiś rzadki dar, choć jeszcze go do końca nie zgłębił. Zaufała mu. Bez wahania i zastrzeżeń powierzyła jego opiece bratanka. A wcześniej wysłuchiwała jego historii. Odniósł wrażenie, że naprawdę chciała ją usłyszeć, chciała zrozumieć, wyciągnąć z niej wnioski. Jak gdyby to miało jakieś znaczenie.

Gdy wrócili ze spaceru, sąsiadka - pani H., jak nazywała ją Julia - podlewała ogród od frontu. Jack był bez kul. Miło było znowu chodzić na własnych nogach.

- Uroczy dzień na pracę w ogrodzie - zagaił. Spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na Josha.

Oczy natychmiast się jej rozjaśniły.

- Witaj, młody człowieku. Przyjechałeś w odwiedziny do ciotki Julii?

- Co to jest „do ciotki”?

Pytanie - podobnie jak dwieście wcześniejszych pytań - było skierowane do Jacka, ale z odpowiedzią pospieszyła sąsiadka.

- To znaczy, że Julia jest siostrą twojego ojca. Zauważyłam, że przyjechałeś, więc upiekłam te ciasteczka, które tak lubisz.

- Te z setkami i tysiącami? Rozpromieniła się.

- Tak, te.

- A Jack nie mógłby po nie przyjść teraz? Sztuczny śmiech pani H. zamarł w jednej chwili. Jack skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się do niej dobroniusznie. Josh zrobił to samo: skrzyżował rączki i uśmiechnął się zwycięsko. A potem nagle coś sobie przypomniał. Magiczne słowo.

- Zapomniałem powiedzieć „proszę”.
- W takim razie...

Poszła do domu, a Jack przybił piątkę z Joshem.

- Dobrze te ciastka?
- Aha.

Jack właśnie pochłaniał trzecie ciastko. I nie był w stanie powstrzymać szerokiego uśmiechu, gdy sobie przypominał minę sąsiadki. Podając tacę, poinformowała go ostro:

- Ciastka są dla Josha, słyszy pan?

Mały położył mu pulchną rączkę na ramieniu.

- Co będziemy teraz robić, Jack?

Rozwagał możliwości. Dość już ciastek, bo niedługo pora lunchu. Julia kończy pracę.

- Może byśmy zjedli lunch w parku?
- Tym z kaczkami?
- Zgadza się.
- A Julia też może iść?

Jack wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Możemy ją zapytać.

Julia podniosła głowę znad spisu inwentarzowego. Jej uwagę przykuł ktoś w dziale meblowym. Wysoki, płowowłosy mężczyzna z małym chłopczykiem na barana. Dwie pary oczu przeczesywały uważnie sklep.

Ten obrazek zadziałał na jej wyobraźnię. Tak, właśnie tego chciała. Tego mężczyzny. I dziecka. Pełnej rodziny.

Ta świadomość nie odebrała jej tchu, nie ugięły się pod nią kolana. Poczowała się tak, jakby omyła ją płynne światło słoneczne i dotarło aż do serca. Kocha Jacka. Całkowicie, do końca, na wieczność.

Josh ją wypatrzył. Pokazał palcem w jej kierunku, podskoczył na ramionach Jacka i - sądząc po grymasie - pociągnął go za włosy. Julia uśmiechała się od ucha do ucha. Zalała ją fala nadziei, radości i miłości. Roześmiała się w głos.

Koleżanka szturchnęła ją i mruknęła coś o tym, by przestała się gapić i wracała do pracy, ale Julia nie zwracała na nią uwagi. Nagle opanowała ją nieśmiałość. Była pewna, że jej uczucia można bez trudu odczytać. Odłożyła długopis, jakby to był jakiś wyjątkowo krachy przedmiot. A potem spojrzała prosto w oczy Jacka.

- Cześć.

- Cześć.

Josh zaczął coś paplać o tym, że przyszli, żeby zabrać ją do parku, że będą karmić kaczki i że ma się pospieszyć, bo chleb zrobi się czerstwy. W końcu przerwał, żeby wziąć oddech.

- Chcesz iść z nami do parku? - zapytał Jack.

- A macie coś do jedzenia nie tylko dla kaczek? Umieram z głodu.

Josh sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej pomietą torebkę.

- Kaczki się z tobą chętnie podziela.

Kupili kanapki. Josh biegał między placem zabaw i jeziorkiem przy południowej krawędzi parku. W końcu padł zziębnięty na ziemię koło chorej nogi Jacka. Julia zauważyła, że mężczyzna mimowolnie skrzywił się z bólu. Opanowały ją wyrzuty sumienia.

- Chodź tutaj, kolego, to zaniosę cię do domu na barana.

- Nie jestem kolega, jestem stary - poinformował ją chłopczyk, nie ruszając się z miejsca. Spojrzał na Jacka. - A ty możesz mnie zanieść na barana?

- Pewnie.

Nim Julia zdążyła zaproponować, malec wspiął się Jackowi na ramiona.

- Na pewno dasz radę? - zapytała z troską.

- Jeśli ten stary na górze odsłoni mi oczy.

Josh zachichotał. Julia wzniosła oczy do nieba. Ruszyli w drogę do domu.

- Gdzie się podziały twoje kule? - zapytała.

- Wyrzuciłem je.

- Czy to rozsądne? Spojrzał na nią.

- Boisz się, że upuszczę dziecko?

- Nie, boję się, że uszkodzisz sobie znowu kolano.

- Defetystka!

- Facet!

Parsknął śmiechem. Rozbawiła go tą kpiącą zniewagą. Rzadko widywała go na takim luzie. Gdyby tylko utrzymał się ten jego dobry nastrój. Gdyby... gdyby... Westchnęła ciężko

i od razu poczuła na sobie jego pytające spojrzenie. Jednak nim zdążył je wypowiedzieć, ze sklepu mięsnego wyszła Maisie Davis i zatrzymała ich z uśmiechem.

- Cudowny dzień - powiedziała.

- Byliśmy w parku - poinformował ją Josh.

- Ale zabawa, co? Idziecie teraz do domu?

- Nie. Do Julii. Jack też tam mieszka, wie pani? Julia poczuła, że palą ją uszy.

Pożałowała, że związała dziś włosy. Ale Maisie była zbyt zajęta przyglądaniem się Jackowi, żeby zauważyć jej zakłopotanie.

- Pan jest młodszym bratem Kree, tak? Mam nadzieję, że ona niedługo wróci, bo Tina nie radzi sobie z moimi włosami. - Położyła dłoń na ciasno zwiniętych loczkach. - Cóż, muszę jeszcze coś kupić. Miłego dnia.

Nim minęli trzy następne przecznice, wymienili uprzejmości z przynajmniej szóstką mieszkańców miasteczka. Wszyscy chcieli pogadać z Joshem, zapytać o Kree i przyjrzeć się Jackowi. Julia nie śmiała na niego zerknąć, żeby sprawdzić, jak znosi tę niemaskowaną ciekawość.

Gdy wyszli z za rogu na opustoszałą Bower Street, wybuchnął pełnym niedowierzania śmiechem.

- Codziennie chodzę na spacer, ale dotąd nikt mnie nie zaczepił.

- Wiesz, dziecko to dobry pretekst do nawiązania rozmowy - odparła lekko.

- Nie martwisz się o swoją reputację? Spojrzała na niego. Był poważny.

- Od tygodnia mieszkasz w moim domu. Już i tak mam nieźle zaszarganą opinię.

Miała zamiar się uśmiechnąć, żeby mu pokazać, że żartowała, ale właśnie stanęli przy furtce do jej ogrodu. Nagle ogarnęło ją przerażenie. Josh zaraz zaśmie. Wtedy nie będzie już mogła przeciągać tego dłużej. Musi mu powiedzieć.

Josh uparł się, żeby Jack poczytał mu na dobranoc. Julia próbowała protestować, ale Jack się zgodził. Po paru chwilach chłopczyk spał jak zabity. Jack przykrył go kołderką i cicho zamknął za sobą drzwi do pokoju.

Z salonu sączyła się muzyka, z kuchni dobiegało brzękanie garnków. Pociągnął nosem i wyczuł coś pikantnego.

Julia podniosła głowę, gdy wszedł do środka.

- Pomyślałam, że przygotuję coś na potem, na kolację, gdy mały śpi. Dziękuję ci, że się nim zająłeś.

- Nie ma sprawy.

- Powinieneś usiąść i oprzeć nogę wyżej.

- Tak jest, mamusiu.

Łyżka wypadła jej na podłogę. Stała jak słup soli i wpatrywała się w pomidorowy sos rozprysnięty na kafelkach.

- Ty chyba też powinnaś trochę odsapnąć - zasugerował.

Wyglądała tak, jakby bardzo potrzebowała odpoczynku.

- Ale ze mnie niezdara. Pójdę się przebrać.

Jack wziął sobie coś do picia i zajął swoje ulubione miejsce w ogrodzie. Cały czas zastanawiał się nad jej skonsternowaną miną. Nie miał pojęcia, co ją zdenerwowało. A może tylko sobie to wyobraził.

Przesiedział tak chyba ze dwadzieścia minut, a może więcej. Słuchał muzyki i głaskał McCoya. W końcu usłyszał trzaśnięcie drzwi do ogrodu.

Przebrała się w jedną z tych swoich lekkich sukienek. Była w ogrodzie. Kręciła się to tu, to tam. Czasem schylała się, żeby wyrwać jakiś chwast. Zrywała zwiędnięte kwiaty. Miała zafrasowaną minę. Chyba mówiła do siebie. A może coś recytowała.

Coś ją gryzie. Coś, o czym nie była gotowa z nim rozmawiać.

Nagle odstawiła grabie i wyciągnęła rękę do tyłu, jakby chciała rozciągnąć zmęczone mięśnie. Obróciła się bokiem, przez jej sukienkę przeświecało słońce. Miał przed oczami jej sylwetkę w całej okazałości: pełne piersi, krągły brzuch i długie, zgrabne nogi. Aż mu zaparło dech.

Julia zamknęła oczy. Widział teraz jej twarz wystawioną do słońca. Uśmiechała się łagodnie. A drugą dłoń położyła opiekuńczo na brzuchu.

Serce Jacka zadrzało. To niemożliwe. To tylko jego wyobraźnia. Usiadł prosto. Odwróciła się i chyba zauważyła jego osłupiałą minę. Miał wrażenie, że ogląda zwolniony film. Wyprostowała się, zesztyniała. Jej pełne troski spojrzenie rozwiało jego wątpliwości skuteczniej niż kubek zimnej wody wylany na głowę.

- Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? - zapytał. Podeszła do niego wolno. Uśmiechała się niepewnie.

- Gdy tylko wymyśliłabym, jak to zrobić.

- Może po prostu: „Jestem w ciąży”? To powinno wystarczyć.

Zatrzymała się. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Kiedy się dowiedziałas? - zapytał.

- Zrobiłam test w piątek wieczorem.

Jack wypuścił powietrze z płuc. Wczoraj wieczorem już wiedziała. Wypytywała go o podejście do małżeństwa, dzieci i samotnego rodzicielstwa, wiedząc, że jest w ciąży. Mogła mu wtedy wyznać prawdę. Do licha, jeśli zamierzała mu powiedzieć, to miała wtedy milion okazji.

- To po to pojechałaś do Clifton? Żeby kupić test?

- Począł, aż potwierdziła. - Więc musiałaś podejrzewać, że jesteś w ciąży?

- Owszem, ale chciałam się upewnić... zanim ci powiem.

- A masz pewność? Byłaś u lekarza?

Znał odpowiedź, nim jeszcze pokręciła głową. Nie poszła do lekarza w Plenty z tych samych powodów, dla których nie kupiła w Plenty testu. Z tych samych powodów, z których nie przedstawiła go sąsiadom. Znowu to samo.

- Te testy są rzekomo równie pewne, co badanie lekarskie. - Potarła nerwowo dłońmi o sukienkę. - Nie mam wątpliwości.

- Miałaś nudności?

- Byłam tylko zmęczona. Najpierw pomyślałam, że to przez pracę albo brak snu...

Jack wypuścił długi, urywany oddech. Próbował zebrać myśli. Usiadła na ławce naprzeciwko i splotła ręce na kolanach.

- Nie wyglądasz na zrozpaczoną - powiedział.

- Och, pewnie, że nie. - Uśmiechnęła się. Promieniowało z niej szczęście. - Zawsze chciałam mieć dziecko.

Nie był w stanie powstrzymać się od rzucenia pełnej goryczy uwagi.

- No, to chyba jesteś zadowolona. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie starałam się zajść w ciążę. Przecież się zabezpieczyliśmy.

- Ale jakoś do tego doszło.

Patrzył na nią z niedowierzaniem. A potem schował twarz w dłoniach. Julia jest w ciąży. Urodzi dziecko. Jego dziecko. Malutkie i bezradne.

Jego dziecko. Ich dziecko, efekt tamtej wspaniałej nocy.

Aż mu się w głowie zakręciło. Nie zdążył jednak zebrać myśli, bo ona zaczęła mówić. Zwrócił uwagę na jej ton, ostrożny i wyważony.

- Wyobrażam sobie, że to trochę przytłaczająca wiadomość i że pewnie potrzebujesz trochę czasu, żeby się z tym oswoić. Chciałam ci tylko powiedzieć, abys się nie czuł... że jesteś pod presją.

Wyprostował się wolno.

- Pod presją? W jakim sensie?

- Wiesz, co mam na myśli.
- Myślisz, że mógłbym czuć się w obowiązku ożenić z tobą?
- Wiem, co myślisz o małżeństwie. I chcę, żebyś wiedział, iż nie oczekuję tego od ciebie.

- Skąd wiesz, co myślę o małżeństwie? Nie pytałaś mnie o to.
- Tamtego ranka. Po... Powiedziałaś, że małżeństwo nie leży w twoich planach. A potem, gdy opowiadałaś o rodzicach... - Wzruszyła ramionami. Nie ułatwiał jej tego. - Nie musisz się ze mną żenić tylko dlatego, że zaszłam w ciążę.

- Przecież chcesz wyjść za mąż.
Podniosła na niego wzrok. Serce podskoczyło jej do gardła. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Sama nie wiem. Myślę, że tylko mi się tak wydawało. Pewnie dlatego, że taki stan wydawał mi się bezpieczny. - Wyprostowała się. - I dlatego, że chciałam mieć dziecko.

- A teraz, gdy zaszłaś w ciążę, nie potrzebujesz już mężczyzny?
- Na pewno nie potrzebuję mężczyzny, który czuje się usidlony.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Więc co planujesz? Będziesz nadal pracować po sześćdziesiąt godzin na tydzień, żeby zarobić na opłacenie opiekunki do dziecka?

- Nie!
- To jak sobie poradzisz?
- Mam trochę oszczędności i...
- Masz pojęcie, ile kosztuje wychowanie dziecka?
- A ty masz? - odparowała.

- Owszem. Słyszałem od Gava. - Wstał, krążył dookoła ławki. - A pomijając kwestię pieniędzy, zastanawiałaś się nad inną stroną bycia samotną matką? Będziesz się musiała zajmować dzieckiem sama, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Julia odwróciła wzrok. Myślała tylko o tym, że będzie miała dziecko Jacka - dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Wszystko się jej pokręciło. Zwilżyła wyschnięte wargi i skoncentrowała swoje wysiłki na tym, by mówić spokojnie, ostrożnie dobierać słowa. Jak gdyby prowadzili zwyczajną, codzienną konwersację na temat tego, gdzie spędzą wolny dzień.

- Więc co sugerujesz? Co chcesz zrobić?
- Liczy się tylko to, co jest dobre dla dziecka. Dziecko potrzebuje obojga rodziców, którzy wspólnie będą się o nie troszczyć i zapewniać mu wszystko, czego potrzebuje.

Zależało mu na dobru dziecka, na takim życiu, za jakim on tęsknił, za poczuciem bezpieczeństwa. Julię przepelniła miłość tak wielka, że miała wrażenie, iż zaraz wybuchnie płkaniem. Serce łomotało jej jak szalone.

Zmusiła się jednak do zachowania spokoju. Nie za szybko, krok po kroku.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Jack? - zapytała ostrożnie.

- Bierzemy ślub.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jack czekał w napięciu na jej odpowiedź. Spodziewał się, że Julia go wyśmiej. Lecz ona splótła ręce na kolanach i powiedziała:

- Dobrze. Weźmiemy ślub, jeśli tak ci na tym zależy.

- Muszę znaleźć stałą pracę - myślał na głos. Zaczął krążyć dookoła. - Będziemy musieli zdecydować, gdzie.

- Co masz na myśli?

- Nie możemy zamieszkać na zachodzie, gdzie pracowałem, bo tam diabeł mówi dobranoc.

- Czemu nie zamieszkamy tutaj? - Zatrzymał się i wbił w nią wzrok. - Bill chętnie dałby ci pracę. Wiem, co myślisz o Plenty - ciągnęła dalej ze spokojem. - Wiem, że nie miałeś czasu tego przemyśleć, ale jeśli się gdzieś przeprowadzimy, nie będziemy mogli liczyć na pomoc. Pomyśl o tym, Jack. Cała moja rodzina i przyjaciele są tutaj. Kree też.

Ona miała rodzinę i przyjaciół, a on siostrę, z którą nie zamienił słowa od dwóch miesięcy. Doskonała ilustracja dzielącej ich przepaści. Jeśli tu zostaną, ta przepaść będzie się powiększać z każdym dniem. Pokręcił głową.

- Być może to ty nie miałaś czasu, żeby to przemyśleć. Wychodzisz za mnie, jesteś ze mną w ciąży, Myślisz, że pani burmistrz Goodwin się to spodoba?

- Pewnie nie będzie zachwycona, ale w końcu to moja matka. Rodzice zawsze mnie wspierali, bez względu na to, jak dalece byli mną rozczarowani.

- Jak można być tobą rozczarowanym?

- Oni mają wysokie wymagania. A ja nie jestem specjalnie ambitna. Ich zdaniem praca w Gracey jest poniżej moich możliwości. Wysłałam młodo za męża. Rodzice uważali, że się zmarnuję. Potem nie walczyłam dość energicznie o zatrzymanie męża przy sobie. Na dodatek kupiłam ten rozpadający się dom w biednej dzielnicy.

Posmutniała.

- A co właściwie skłoniło cię do kupna tego domu?

- Uznałam, że ma potencjał. Spodobał mi się ogród i to wielkie, stare drzewo. No i ziemia, wprost idealna dla ogrodnika. - Powiodła wzrokiem dookoła i uśmiechnęła się z drwiną. - Poza tym nie mogłam sobie pozwolić na nic więcej. Ale nie w tym rzecz - ciągnęła dalej. - Po ślubie z Paulem wyprowadziliśmy się z Plenty i to było straszne. Nikogo tam nie znałam, nie miałam dookoła przyjaciół ani rodziny. Tęskniłam za pogawędkami na ulicy, za widokiem ze wzgórza Quilty.

- Przecież cię nie proszę, żebyś zamieszkała w wielkim mieście.
- Nie, ale chcesz, żebym wyjechała nie wiadomo dokąd. Czy nie wydaje ci się, że to bez sensu, skoro mam ten dom? A ty możesz tu dostać pracę?

Zignorował jej błagalne spojrzenie. Pokręcił głową.

- Nie ma takiej możliwości. Zresztą Bill nie mógłby płacić mi porządnej pensji.
- Bill musi zacząć myśleć o emeryturze. W końcu ile on ma lat? Sześćdziesiąt? Sześćdziesiąt pięć?

- Sześćdziesiąt osiem. I nigdy nie przejdzie na emeryturę. Umrze na stanowisku pracy. - Jack przeczesał włosy dłonią. - Słuchaj, ja nie lubię pracować dla innych. Zwariowałbym u Billa.

- To czemu tu przyjeżdżasz i mu pomagasz?
- Bo jestem mu to winien. Zresztą to mi się zdarza tylko dwa razy w roku. To nie jest normalna praca, dzień po dniu.

Koniec dyskusji. Znowu zaczął krążyć dookoła. Zastanawiał się, co powinien zrobić.

- Zainwestowałem trochę pieniędzy. - Całkiem pokaźną sumę, bo dotąd nie było na co wydawać. Nie miał domu, rodziny. - Może mógłbym kupić warsztat mechaniczny. Popytam. Gdzie by ci najbardziej odpowiadało: na wybrzeżu, w głębi kraju, w innym stanie?

- Już ci powiedziałam, jakie jest moje zdanie. Dobrze, w takim razie sam zadecyduje.
- Muszę polecieć na zachód i załatwić parę spraw. To mi zajmie ze dwa tygodnie, może trochę dłużej.

Kiwnęła głową i wbiła wzrok w swoje dłonie.

Wyjechał tego samego wieczora. Miała do niego żal. Czy on nie zdaje sobie sprawy z tego, że pojechałaby za nim nawet na koniec świata, jeśli to miałyby go uszczęśliwić? Rzecz w tym, że w głębi ducha nie wierzyła, że będzie szczęśliwy. Bo najpierw musiałby uporać się ze swoją przeszłością. A do tego trzeba być tutaj, w Plenty. Trzeba pokazać ludziom z miasteczka, że niesłusznie traktują go z góry. A przede wszystkim przekonać do tego siebie. To była kwestia szacunku do samego siebie.

Tylko że nie miała pomysłu, jak go do tego przekonać.

Chantal zabrała Josha następnego dnia po południu i zawiozła go do Sydney. Bez niego dom był pusty. Julii pozostało tylko rzucić się w wir pracy. Praca wypełniała jej całe dnie, a co wieczór próbowała zapanować nad falą nadziei, że w domu zostanie wiadomość od Jacka.

Dziś postanowiła jednak zignorować mrugające światełko automatycznej sekretarki. Opadła na sofę, zamknęła oczy i uspokoiła myśli.

Gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi do ogrodu, aż podskoczyła. Nikt nie używał tylnych drzwi. Nikt poza Jackiem. ..

I jego siostrą.

Spotkały się na środku salonu. Julia padła jej w ramiona i zalała się łzami. Kree śmiała się przez łzy. Płakały długo.

W końcu Kree się uspokoiła. Odsunęła się i spojrzała przyjaciółce w twarz. Julię męczyła czkawka.

- No, dobra, wiem, że za mną tęskniłaś, ale czy ty aby nie przesadzasz?

Julia poczuła znowu napływające łzy. Zagryzła dolną wargę.

- Spokojnie, spokojnie. Zaparzyć herbatę czy od razu zabierzemy się za łupy ze sklepu wolnocłowego? - Kree sięgnęła po reklamówkę z butelkami. - Na co masz ochotę? Może byśmy zaczęły od tego, co? - Wyjęła ze środka butelkę likieru marki Baileys.

- Nie, dzięki. - Julia otarła łzy. Przyjaciółka przyglądała się jej coraz bardziej podejrzliwie. - Przepraszam cię. To hormony.

Kree odstawiła butelkę z przesadną ostrożnością.

- Mówisz o normalnych hormonach czy skoku hormonów związanych z macierzyństwem?

Julia zalała się rumieńcem. Kree zagwizdała przez zęby.

- Będę ciocią Kree, tak?

- Jak to zgadłaś?

- Dajże spokój. Czy ty kiedykolwiek byłaś w stanie cokolwiek przede mną ukryć?

- Usadziła Julię na kanapie. Jej dłoń pozostała na ramieniu przyjaciółki przez dłuższy moment. Chciała dodać jej otuchy. - Intuicja mi mówi, że chcesz pogadać.

Julia opowiedziała wszystko od początku do końca. Potem wzięła głęboki oddech i spojrzała na Kree, która uniosła pytająco brew:

- Jeśli wolno, to chciałabym zapytać, czy mu to wszystko powiedziałaś?

- Powiedziałam, że chcę za niego wyjść.

- Ale nie wytłumaczyłaś mu dlaczego? - Kree pokręciła głową. - To przecież facet, a co gorsza, Jack O'Sullivan.

Julia się na to obruszyła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ze nie ma tu miejsca na subtelności, trzeba mu powiedzieć wszystko jasno i wyraźne. Na początek należy założyć, że on nie ma pojęcia, że go kochasz. Myśli, że chcesz za niego wyjść dla dobra dziecka. I że poszłaś z nim do łóżka tylko dlatego, że chciałaś zaszaleć.

- Może tak na początku było, ale potem... - Wzruszyła znacząco ramionami. - Nie mogę uwierzyć, że dla niego to nie było coś wyjątkowego...

- Może było.

- Tak myślisz?

- Mam taką nadzieję, bo w przeciwnym wypadku dwoje ludzi, których kocham najbardziej pod słońcem, nie zazna szczęścia w życiu.

- Wiem, muszę z nim porozmawiać, ale czy on mi uwierzy? Jak mam mu udowodnić, że go kocham.

- Nie mam zielonego pojęcia. - Kree wzięła ją za rękę. - Ale warto spróbować. Dasz sobie radę. Jesteś uczciwa i silna.

- Ja? Silna?

- A, tak!

- Hej, to ja, twoja przyjaciółka, tchórzliwa ekspedientka. Na pewno mnie z kimś nie mylisz?

- Do licha, masz wewnętrzną siłę, która pozwala ci trwać przy tym, w co wierzysz.

Julia prychnęła.

- A pamiętasz, jak matka próbowała cię odwieść od pomysłu kupna domu? Jak chciała, żebyś zamieszkała z Chantal? Zapałaś się. To dużo skuteczniejsze niż tyrady.

- Uważasz, że powinnam być uparta w kwestii miejsca zamieszkania? - zapytała sceptycznie.

- Jeśli to dla ciebie sprawa życia i śmierci, to tak.

Och, to było ważne. Ale nie ze względu na te cztery ściany i stare drzewo w ogrodzie, lecz na Jacka, jego dobre zdanie o sobie, brak kompleksów.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym większej nabierała pewności. Powinni zostać w Plenty. Musiała jakoś to załatwić.

Chwyciła telefon i wybrała numer Billa.

Jack stał na równiutko przystrzyżonym trawniku przed jej domem i chłonał znajome obrazy, dźwięki i zapachy jak człowiek spragniony, który właśnie wróci! z pustyni. Przez pięć tygodni jeździł po całym kraju, rozglądając się za tablicami z napisem „na sprzedaż”.

Żadne miejsce nie było dość dobre.

Coś w nim drgnęło, gdy wjechał na Bower Street.

Dom.

Odetchnął głęboko. Czekał na wewnętrzny bunt, ale nie nadszedł. Być może perspektywa spotkania z Julią przesłaniała mu każdą inną kwestię.

Zakochał się w niej. Była piękna. Silna i łagodna jednocześnie, była jego słońcem, które przebijało burzowe chmury. Przypomniawszy sobie jej minę tamtego popołudnia, gdy wjechał. Powinien ją przeprosić. Z kwiatami.

Stał właśnie przy furtce, nad którą pięły się róże. Im dłużej im się przyglądał, tym bardziej mu się podobały. Naciął już z sześć, gdy usłyszał kroki. Od razu wiedział kto to. Piekielna sąsiadka.

- A więc wrócił pan - powiedziała szorstko.

- Na to wygląda.

- To dobrze. Julia się bardzo ucieszy.

Scyzoryk mu się wymknął. Ostrożnie złożył ostrze.

- O co pani chodzi?

- Długo pana nie było. - W jej głosie zabrzmiała nuta potępienia. Tak lepiej, pomyślał. Bo przez chwilę mu się zdawało, że się cieszy, że go widzi. - Pana siostra wróciła, ale to nie to samo, co mieć w domu mężczyznę.

Oniemiały Jack wbił w nią wzrok. Sąsiadka patrzyła na pęk róż, które trzymał w dłoni.

- Po co one panu? - zapytała. - Jeśli to dla Julii, to mam w ogrodzie trochę późnych Queen Bessie. Będą lepsze. Niech pan chwilę poczeka.

Nie miał pojęcia, co to są Queen Bessie, lecz jeśli mogły się równać do jej ciasteczek, to zamierzał poczekać. Po chwili wróciła z ogromnym bukietem róż, uśmiechnięta od ucha do ucha.

Jack osłupiał.

- Są idealne. Dziękuję bardzo.

- Dla Julii nic nie jest dość dobre. - Podała mu róże i położyła mu dłoń na przedramieniu. - Niech pan się dobrze spisze. Ona zasługuje na szczęście.

Do tej pory nie uświadamiał sobie, czemu wrócił. A teraz już wiedział - żeby ją uszczęśliwić.

Spojrzał pani H. prosto w oczy. Z szacunkiem.

- Właśnie taki mam zamiar.

McCoy usłyszał go pierwszy. Rzucił się na niego, merdając ogonem i piszcząc opętańczo z radości. Jack uśmiechnął się, podrapał psa za uszami. Nagle zrobiło mu się gorąco. Wyprostował się wolno.

Julia stała w drzwiach. Miała na sobie męską koszulę.

Włosy związała nieporządnie na czubku głowy. A on był w stanie myśleć tylko o jednym - o jej długich, mlecznych, zupełnie gołych nogach.

Wyobrażał sobie ten moment setki razy. Lecz teraz zapomniał o przeprosinach, o „tęskniłem za tobą”. Te nogi!

- Ale wyglądasz - wykrztusił z siebie w końcu. Przechyliła głowę na bok.

- Leżałam. - Wzruszyła ramionami. - Tak jest mi wygodnie.

Dopiero po chwili dotarły do niej jego słowa. Zmarszczył brwi.

- Czemu się położyłaś? Żle się czujesz? Na jej wargach zadrgał słaby uśmiech.

- Nie. Po prostu jestem w ciąży.

Oślepił go blask jej orzechowych oczu. Powinien odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech. Powinien ją objąć i pocałować. Lecz ledwie zdołał wykrztusić z siebie pytanie:

- Jak się czujesz?

- Zdaniem doktora Lucasa jestem absolutnie zdrowa.

- Poszłaś do doktora Lucasa?

Do doktora Lucasa, jedyne go lekarza w Plenty? Który grywał w golfa razem z jej ojcem?

- Oczywiście, przecież to mój lekarz. Później skieruje mnie do położnika. Teraz muszę tylko robić regularne badania.

- Nic więcej nie powiedział? Uśmiechnęła się, teraz już szeroko.

- Och, powiedział też, że dziecko urodzi się mniej więcej na początku listopada. I jeszcze, że mam doskonale biodra do rodzenia.

Opuścił wzrok. Skup się, stary. Nie na jej biodrach.

- Nie miałaś nudności?

- Ani razu. Mama mówi, że ona zawsze w ciąży czuła się doskonale. Ciocia Lee tak samo. Chyba to odziedziczyłam. - Położyła dłoń na brzuchu i zatopiła się w myślach. - Wiesz, to zabrzmiało banalnie, ale czuję, że moje ciało jest do tego stworzone. Do rodzenia dzieci.

Ta dłoń łagodna i opiekuńcza, przyciągała go jak magnes. Też chciał położyć tam swoją rękę, na jej brzuchu, w którym rosło ich dziecko. Zrobił krok w jej kierunku. Jego ręka zaciążyła mu do ziemi.

Kwiaty. Zapomniał o tych cholernych kwiatkach.

- Och, to dla mnie? - Roześmiała się, wzięła od niego bukiet. - Skąd wytrzasnąłeś takie wspaniałe róże o tej porze roku?

Zerkała na niego znad kwiatów. Jej spojrzenie było ciepłe, zagadkowe, hipnotyczne. Z trudem zebrał myśli.

- Pochodzą z ogrodu twojej sąsiadki. To oddana fanka.

- Wiem. Jest pod dużym wrażeniem twojego płotu, ale naprawdę podbiłeś jej serce tego dnia, gdy opiekowałeś się Joshem.

Jak to, pani H. go chwaliła? Pokręcił głową.

- To twoja fanka. Dlatego dała mi kwiaty. Dla ciebie.

- Nieważne. - Wzruszyła ramionami. - Są piękne. Wstawię je do wody. Może wejdiesz do środka i zaparzysz herbatę? Jechałeś cały dzień?

Wyciągnął rękę i przytrzymał drzwi.

- Kwiaty mogą poczekać. Najpierw muszę ci coś powiedzieć.

- Słucham...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Stali teraz bardzo blisko siebie. Czuł zapach jej skóry. Ciepły, piżmowy, kobiecy.

Każdy nerw w jego ciele się napiął. Aż do bólu. Zacisnął powieki.

Po chwili otworzył oczy. Julia wpatrywała się w jego dłoń. Nie tę, którą przytrzymał drzwi, lecz drugą, która zawisała parę centymetrów od jej ciała.

- Możesz mnie dotknąć, jeśli chcesz.

Jej niski, gardłowy głos działał jak magnes, równie skutecznie, jak same słowa. Był rozdarty, wahał się. Bo jeśli jej dotknie, to koniec. Żadnej rozmowy, ustaleń.

Tymczasem ona sięgnęła po jego rękę i położyła ją sobie na brzuchu.

- Pewnie nie zauważysz żadnej różnicy, ale czasami, gdy leżę w nocy w łóżku, mam wrażenie, że go czuję. Albo ją.

W jej oczach stanęły łzy. Ich spojrzenia się spotkały. Niesamowite, w jej brzuchu rośnie życie. Rozsunął palce. Próbował sobie wyobrazić, jaka będzie za miesiąc, za pół roku.

- Czułaś już jakiś ruch? - wychrypiał.

- Nie. Lekarz mówi, że to dopiero za jakiś miesiąc. Po prostu mam poczucie, że moje ciało się zmienia. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Czy wydają ci się zmieniona? Przełknęła ślinę.

- Nie masz kolczyka w pępku.

- Nie.

A poza tym... do licha, jak on zdołał przeżyć trzynaście tygodni, nie dotykając jej? Walczył z falą emocji. Cofnął dłoń.

- Może wejdziemy do środka i usiądziemy? Musimy porozmawiać.

Powaga jego tonu wyrwała Julię z błędnego nastroju.

- Dobrze - odparła zduszonym głosem. Weszli do środka. Zajął miejsce na kanapie.

- Czy chcesz rozmawiać o tym, gdzie będziemy mieszkać? Znalazłeś coś?

Pokręcił głową, wypuścił wstrzymywane powietrze.

- Znalazłem mnóstwo miejsc, ale jakoś mi one do ciebie nie pasowały. Do nas.

Nas. Nieco jej ulżyło. Więc nie chce jej powiedzieć, że zmienił zdanie i nie chce brać z nią ślubu.

- Mam dobrą wiadomość.

- Jeszcze nie skończyłem...

- Wiem, ale muszę ci to powiedzieć. Chciałam zadzwonić, ale nikt nie wiedział, gdzie cię znaleźć. Ani Bill, ani Gav, ani Kree. - Splotła ciasno dłonie. Próbowwała uspokoić ich drżenie. - Rozmawiałam z Billem o kupnie jego warsztatu.

Cisza.

- Powiedziałaś, że on umrze z kluczem w dłoni - ciągnęła dalej. - Pomyślałam, że warto to sprawdzić.

A może miałby ochotę chodzić co tydzień na ryby? Pewnie myślisz, że warsztat jest za mały, żeby zarobić na utrzymanie rodziny, ale poszłam do księgowego z księgami rachunkowymi. Twierdzi, że w tym momencie dochody nie są zbyt duże, ale potencjalnie mogą wzrosnąć...

- Jej głos zamarł pod jego surowym spojrzeniem. Co mu chodzi po głowie?

- Co ci przyszło do głowy, Julio? - zapytał złowieszczo spokojnym tonem. Jego oczy lśniły ostro jak stal. - Że nie jestem w stanie sam zapewnić ci utrzymania? A może po prostu zdecydowałaś, że się stąd nie wyprowadzisz i zabrałaś się do organizowania nam przyszłości? Nie pytając mnie o zdanie?

- Nie. Spotkałam się z Billem, żeby go trochę podpytać.

- Nie nazwałby tego wypytywaniem. Sprawdziłaś księgi rachunkowe!

- Bill się przy tym upierał - odparowała. - Jego zdaniem lepiej to zrobić od razu, żeby nie budować zamków na piasku.

Zmusiła się do przerwania potoku słów. Mówiła teraz wolniej, lecz z nie mniejszą pasją.

- On chce sprzedać warsztat. Chce iść na emeryturę.

- Podniosła wzrok na Jacka. Chciała, żeby zrozumiał. - Pozwolił mi przejrzeć księgi, ale nic więcej. Powiedział, że będzie rozmawiał tylko i wyłącznie z tobą.

Nie zmiękł ani odrobinę. Julia nie wiedziała, jak go przekonać. Ale musiała próbować. - Bill bardzo cię ceni. I jako mechanika, i jako człowieka. Nie ma prawdziwej rodziny, jesteś dla niego kimś najbliższym. - Oblizwała wargi. - Wspomnił coś nawet, że chętnie oddałby ci warsztat.

- Nie przyjąłbym go.

- Powiedziałałam mu to i wiesz, co on na to? „Będzie musiał go przyjąć, gdy wyciągnę kopyta!”

Jack spojrzał na nią. Był zaskoczony.

- A teraz, czy mógłbyś usiąść? Szyja mnie boli od tego kręcenia głową za tobą przy okazji każdej dyskusji.

- Czy tak będzie wyglądało to małżeństwo, Julio? Będziesz podejmowała decyzje za moimi plecami?

- Nie - odparła z cichą determinacją. - Gdybyś tu był lub gdybym mogła się z tobą jakoś skontaktować, nie poszłabym do Billa bez twojej wiedzy.

- W ogóle nie musiałaś iść do Billa.

- Owszem, musiałam.

- Bo nie chcesz mieszkać gdzie indziej?

- Nie. Usiądź, to ci powiem. Usiadł z ociąganiem.

- Zrobiłam to dla ciebie, Jack. Bo chcę, żebyś był szczęśliwy. Zastanawiałam się nad twoją przeszłością. Za każdym razem, gdy przyjeżdżasz do Plenty, jest tak, jakbyś cofał się w czasie. Czujesz tylko wstyd i nieufność. To wpływa na to, jak widzisz samego siebie i jak widzisz również mnie. Moim zdaniem nic się nie zmieni, jeśli nie zmierzysz się z przeszłością. Musisz udowodnić, że wydorostałeś, pokazać temu miastu, jakim człowiekiem się stałeś.

- A jakim człowiekiem się stałem?

W głowie zabrzmiała jej rada Kree. Żadnych subtelności, walić prosto z mostu.

- Chcę, żeby wszyscy dostrzegli to, co widzę ja. Człowieka, którego poczucie obowiązku ściąga dwa razy do roku do miasta, którego nienawidzi, choć już dawno spłacił swój dług. Człowieka, który pomaga koledze, któremu właśnie urodziło się dziecko. Człowieka, którego małe dziecko zupełnie instynktownie obdarza zaufaniem. Człowieka, przy którym brakuje mi tchu w piersiach. Człowieka, którego kocham z całego serca.

Wyrzuciła to z siebie. Powiedziała. A on gapił się na nią tak, jakby postradała rozum.

- Mniej więcej tyle mam do powiedzenia. I jeszcze jedno. Gdybym cię nie kochała, nie zgodziłabym się za ciebie wyjść, bez względu na ciążę. Poza tym, gdybym cię nie kochała, to nie poszłabym z tobą do łóżka.

- Skończyłaś?

Przełknęła łzy i kiwnęła głową. A potem coś sobie jeszcze przypomniała.

- Jeśli ci nie odpowiada warsztat Billa, to nie ma sprawy.

- Jak to, nie ma sprawy?

- Wyjdę za ciebie i tak. Pojadę za tobą, dokądkolwiek będziesz chciał.

- Nawet do wielkiego miasta?

- Tak.

Nawet gdyby nie złamała go wcześniej, to teraz na pewno by się to stało. Emocje dławiły go w gardle. Nie był w stanie nic z siebie wydusić.

Julia Goodwin go kocha. Czym sobie na to zasłużył?

Wiedział, że stanie na głowie, żeby ta miłość trwała wiecznie. Wziął ją za rękę i odchrząknął.

- Nie wiem, czy warsztat Billa będzie dla mnie odpowiedni, ale wiem na pewno, że ty jesteś dla mnie odpowiednia. I twój dom. Nawet to żałosne miasteczko zaczyna mi się coraz bardziej podobać. Potrzebowałem pięciu tygodni, by to zrozumieć. Rozglądałem się sam nie wiem za czym, podczas gdy to miejsce jest tu. Przy tobie. Tam gdzie ty.

- Naprawdę?

- Przecież właśnie to powiedziałem.

- Skończyłeś? - zakpiła.

- Nie, jeszcze nie przeszedłem do najważniejszej części. - Uścisnął jej dłoń.

- Chciałbym zrobić to jak należy, ale nie mogę jeszcze klękać.

Jej oczy się rozszerzyły.

- Nadal cię boli kolano?

- Tylko wtedy, gdy za bardzo obciążam nogę. - Pochylił się do przodu. Był poważny.

- Julio, zostań moją żoną. Chcę, żebyś zawsze przy mnie była. Chcę się z tobą zestarzeć. Czy wyjdiesz za mnie?

- Przecież wiesz, że tak.

- Kiedy?

Parsknęła śmiechem.

- Musimy to przedyskutować.

- Nic jeszcze nie zorganizowałaś? - jęknął.

- Uznałam, że tę decyzję zostawię tobie.

- Dobrze. - Wzruszyła ramionami. - W takim razie jutro. W ogrodzie.

EPILOG

Było dokładnie tak, jak w filmach.

Akcja zwolniła, gdy rozległy się pierwsze takty marsza weselnego. Wszyscy goście znieruchomieli. Kamera zrobiła zbliżenie na Julię, która starała się ustać na miękkich nogach. Dwie druhny - siostra i przyszła szwagierka -poprawiły jej fryzurę.

Odnosiło się wrażenie, że czas się zatrzymał. Myśli, dźwięki, ruchy zyskały nagle klarowność.

Julia miała zaraz wyjść za mężczyznę, którego kochała z wzajemnością. Uroczystość miała miejsce w ich ogrodzie na Bower Street. Bez wątpienia był to najszczęśliwszy dzień w jej życiu.

Położyła dłoń na brzuchu, a potem wzięła ojca pod rękę.

- Jesteś gotowa? Uśmiechnęła się promiennie.

- Tak, tato. Gotowa.

Jack odetchnął głęboko i wolno się odwrócił. Na jej widok zupełnie oniemiał. Płynęła do niego niczym jakaś nieziemska piękność.

Serce biło mu jak szalone. Zamknął oczy. Po chwili usłyszał delikatny szelest liści pod jej stopami. Gdy otworzył oczy, stała już przed nim i wyciągała do niego rękę. Uśmiechała się czule, z miłością. Ksiądz odchrząknął.

- Możemy zaczynać?

- Oczywiście - odpowiedzieli zgodnym chórem.

Ich dom, goście, łązy radości pani H., dumni rodzice. Kree puściła do niej oko, a Chantal wyszeptwała:

- Misja „wydać Julię za mąż” zakończona sukcesem.